| MAGAZYN TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW ZIELONEJ GÓRY „WINNICA” | ISSN 2544-8880 | VII-X 2017 | NR 2 |

na WINNICY

z miłości do miasta

W NUMERZE:

Miasto przekupiło wioski

Wolą obywateli gminy wiejskiej i miasta połączenie dokonało się 1 stycznia 2015 r. Ostatniego grudnia ubiegłego roku w Zielonej Górze mieszkało 139 330 osób.

S. 3-6

Ojciec i matka muzeum

Dziś jest to jedna z najważniejszych placówek tego typu Polsce i licząca się w Europie – twierdzi dr Włodzimierz Kwaśniewicz, twórca Lubuskiego Muzeum Wojskowego w Drzonowie.

S. 8-9

Limeryki

Jadą myszy raźno, a na przedzie Miki,
pewnikiem zajadą migiem do Afryki.
Bo kto w Falubazie,
ten na pełnym gazie
złote kółka kręci niczym fiki-miki.

S. 12

fot. Krystyna Jaworska

Tegoroczne Winobranie trwało od 2 do 9 września. Nie tyle pogoda, co przebudowa centralnej ulicy Bohaterów Westerplatte trochę pokrzyżowała szyki organizatorom dorocznego święta miasta. Barwny korowód przeszedł al. Konstytucji 3 Maja. Obowiązki gospodarza pełnił Bachus. Gości było wyraźnie mniej niż w latach poprzednich. Fotoreportaż – s. 2.

Winobranie 2017

fot. Krystyna Jaworska

fot. Bogumła Hyla-Dąbek

fot. Krystyna Jaworska

fot. Bogumła Hyla-Dąbek

fot. Bogumła Hyla-Dąbek

fot. Bogumła Hyla-Dąbek

fot. Krystyna Jaworska

fot. Bogumła Hyla-Dąbek

Sylwester Woźniak
Alfred Siatecki

Miasto przekupiło okoliczne wioski

Herb Zielonej Góry widnieje na tablicach dwóch ulic Lwowskich. Ulic Bocznych, Brzozowych, Cisowych, Czereśniowych, Dzikich, Grabowych, Jagodowych, Jeździeckich, Konwaliowych, Kożuchowskich, Krętych jest po trzy, Akacjowych Kościelnych, Kwiatowych, Lipowych, Polnych, Porzeczkowych, Słonecznych, Strumykowych – po sześć, Leśnych – aż jedenaście.

Pod koniec 2014 roku „Gazeta Lubuska" donosiła, że w Zielonej Górze nie powstanie wielka fabryka samochodów, którą chciał wybudować hinduski koncern Tata Motors. Skończyło się na chęciach, gdyż miasto nie posiadało odpowiednio dużej działki.

Doniesienie prasowe wskazuje jedynie, że Winnemu Grodowi potrzeba było dużych przestrzeni inwestycyjnych. Należy przypuszczać, że włodarze miasta od dawna musieli spotykać się z podobnymi problemami, chociaż na mniejszą skalę. To spowodowało, że pojawił się pomysł powiększenia miasta o obszar gminy wiejskiej Zielona Góra.

Oprócz tego znane były liczne analizy specjalistów, które przewidywały, że połączenie miasta i gminy spowoduje m.in. wzrost znaczenia Zielonej Góry jako średniego ośrodka miejskiego, uwolnienie barier rozwojowych miasta związanych z jego obszarem, włączenie w jego obręb Parku Naukowo-technologiczno-przemysłowego w Nowym Kisielinie, zwiększenie wysokości dotacji krajowych i unijnych. Przewidywano także wzrost spójności terenu miasta i gminy jako jednolitego obszaru ekonomicznego. Można więc wywnioskować, że połączenie obu jednostek administracyjnych było konieczne z powodów gospodarczych. Warto również dodać, że miejscowości położone przy granicach Zielonej Góry stanowiły tzw. sypialnie dla osób pracujących w mieście, z tego powodu zjednoczenie było korzystne dla mieszkańców.

Połączenie Winnego Grodu oraz gminy było wyjątkowe w skali całego kraju. Nie nastąpiło ono na podstawie odgórnie podjętych decyzji ministerstwa lub władz obu samorządów, ale na zasadzie dobrowolności potwierdzonej w referendum. To właśnie obywatele zdecydowali, że chcą powiększenia miasta. Przed głosowaniem prowadzona była kampania informacyjna skierowana do mieszkańców gminy. W trakcie spotkań można było porozmawiać o korzyściach i negatywach płynących z połączenia. Mieszkańcy podmiejskich wsi interesowali się takimi sprawami, jak: rozwój edukacji, zwiększenie dostępności połączeń komunikacji miejskiej oraz ceny biletów MZK, wysokość podatków czy zagadnienia związane z dotacjami unijnymi dla rolników. Przedstawiciele władz miasta biorący udział w takich spotkaniach zapewniali ich uczestników o korzyściach płynących z połączenia. Zwracali uwagę na to, że zmaleją ceny biletów komunikacji miejskiej, połączenia MZK zostaną rozbudowane na teren całej gminy, zachowana zostanie obecna struktura szkolnictwa, podatki w gminie miały ulec obniżeniu do wysokości tych, które obowiązywały w mieście. Włodarze miasta zapewniali

Grünberg in Schelesien / Zielona Góra

Mieszkańcy		Powierzchnia	
Rok	liczba	Rok	km kw.
1313	800	1800	2,76
1740	3494	1865	3,26
1900	20 983	1923	3,70
1939	26 076	1945	32,30
1950	31 134	1962	55,00
1955	39 443	1986	58,32
1960	54 261	2015	278,32
1965	62 844		
1970	73 156		
1975	84 230		
1980	101 091		
1985	109 926		
2000	118 786		
2005	118 221		
2010	117 669		
2016	139 330		

Tak rozrastała się Zielona Góra

– 1 stycznia 1962 r. – przyłączenie gromady Jędrzychów i wsi Chynów w gromadzie Zawada
– 1 stycznia 1986 r. – przyłączenie przysiółka Racula i części Starego Kisielina, gdzie powstały osiedla m.in. Pomorskie, Śląskie, Mazurskie.
– „Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej", 31 lipca 2014 r., poz. 1023: Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 29 lipca 2014 r. w sprawie połączenia gmin, ustalenia granic niektórych gmin i miast, nadania niektórym miejscowościom statusu miasta oraz zmiany siedziby władz gminy. Na podstawie art. 4 ust. 1 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2013 r. poz. 594, z późn. zm.1)) zarządza się, co następuje: § 1. Z dniem 1 stycznia 2015 r. w województwie lubuskim łączy się miasto na prawach powiatu Zielona Góra z gminą Zielona Góra w powiecie zielonogórskim. (...)

Włączone wioski tworzą dzielnicę Nowe Miasto: Barcikowice, Drzonków, Jany, Jarogniewice, Jeleniów, Kiełpin, Krępa, Łężyca, Ługowo, Nowy Kisielin, Ochla, Przylep, Racula, Stary Kisielin, Stożne, Sucha, Zatonie, Zawada oraz części dzielnicy niemające statusu sołectwa: Barcikowiczki, Krępa Mała, Marzęcin i Przydroże.

również, że bonus, jaki ministerstwo administracji przekaże za zgodne połączenie, w całości będzie wydany na potrzeby gminy. W celu przeprowadzenia pełnej integracji obu samorządów i pokazania dobrej woli ze strony władz Winnego Grodu, opracowano Kontrakt Zielonogórski. Był on wzorowany na dokumentach przedakcesyjnych Unii Europejskiej. Powstał w oparciu o liczne sugestie mieszkańców wsi i był konsultowany m.in. z prawnikami i radnymi obu samorządów. Został on uchwalony na wspólnej sesji rady gminy i miasta 12 czerwca 2013 r. W celu nadania Kontraktowi wiążącej mocy prawnej podjęto działania, aby był on częścią uchwały ministra w sprawie połączenia obu jednostek terytorialnych. To właśnie w Kontrakcie zapisano kierunki inwestycji dla poszczególnych miejscowości i zadania władz w zakresie polityki oświatowej, kulturalnej czy komunikacji MZK.

Wolą obywateli gminy i miasta połączenie dokonało się 1 stycznia 2015 r. W ten sposób wszystkie miejscowości byłej gminy stały się osobnymi dzielnicami, jednocześnie zachowując swój dotychczasowy status.

Większość obszaru powiększonej Zielonej Góry stanowią lasy, co może okazać się sporym atutem. Od chwili połączenia miasto dysponuje wystarczającym obszarem, aby wybudować fabrykę samochodów i przyciągnąć potencjalnych inwestorów. Małe miejscowości, które były sztuczne odizolowane od miasta, zostały z nim połączone. Dzięki temu poprawił się standard życia wielu mieszkańców. Równie ważne jest to, że w obrębie miasta znajduje się Park Naukowo-technologiczno-przemysłowy, który był dużą inwestycją Winnego Grodu.

Metoda połączenia miasta i gminy Zielona Góra cieszy się dużym zainteresowaniem samorządowców z innych jednostek administracyjnych Polski, którzy myślą o zgodnym i demokratycznym powiększeniem obszaru swoich miast.

Antonina Ambrożewicz-Sawczuk
wiceprezeska Stowarzyszenia „My Zielonogórzanie", była radna gminy wiejskiej Zielona Góra

RACULA

Trzy lata temu, kiedy ówczesna Rada Gminy podejmowała decyzję w sprawie połączenia gminy wiejskiej z miejską, byłam temu przeciwna. Jednak głosowałam za. Zrobiłam to bardziej ze względu na profesora Osękowskiego, z którym pracowałam przy ostatecznej wersji uchwały połączeniowej niż z powodu zdrowego rozsądku. Po dwóch latach, jakie upłynęły od połączenia, widać, że źle zrobiłam. Tamto działo się przed wyborami samorządowymi. Prezydentowi miasta chodziło o sukces. Nie mam wątpliwości, że połączenie było takim sukcesem z punktu widzenia Janusza Kubickiego i Rady Miasta. I nieszczęściem z punktu widzenia mieszkańców Raculi.

Dotąd niewiele z tego, co miasto obiecało, zostało wykonane. Z funduszu integracyjnego została przebudowana ulica Mikołaja i łącząca Orlik z Głogowską. Fundusz połączeniowy to 100 mln zł. Teoretycznie Racula ma do wydania 11 mln w ciągu pięciu lat. Teoretycznie, bo fundusz powinien być wykorzystany w latach 2015-2019, a dotąd zebranie wiejskie zgodziło się na przekazanie wkładu własnego 300 tys. na budowę ronda Andrzeja Huszczy. Raculanie mieli nadzieję, że po połączeniu drogi piaszczyste i błotniste zostaną utwardzone. Że przy drogach staną lampy i wreszcie będzie jasno. Że zostanie dokończona budowa chodnika wzdłuż ulicy Głogowskiej do końca zabudowy. Ciągle są to nadzieje. W umowie połączeniowej znalazło się zapewnie, że wszystkie zadania zapisane w wieloletnich planach gminy będą kontynuowane. A jak jest?

Gmina zaczęła remont świetlicy wiejskiej. Nie zdążyła go ukończyć przed połączeniem. Powinien więc być kontynuowany. Nie jest i nic nie wskazuje na to, że pomieszczenia nad biblioteką, w planie przeznaczone dla organizacji pozarządowych, zostaną wyremontowane. Dopiero teraz miasto przystępuje do remontu pomieszczeń nad remizą straży pożarnej. Prawda, strażacy otrzymali nowy samochód, ale pewnie dostaliby go, gdyby nie doszło do połączenia.

Zadaję sobie takie pytanie: czy na pewno Racula to część miasta? Zadają dlatego, że przy ulicy Wrocławskiej wisi tablica informująca, że tam kończy się miejska strefa taxi.

Dr Izabela Korniluk
sekretarz Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry „Winnica"

ŁĘŻYCA

Od 2001 roku jestem mieszkanką Łężycy, a właściwie osiedla Czarkowo wybudowanego na początku tego tysiąclecia przed Łężycą. Przeprowadzając się na nowe osiedle automatycznie stałam się mieszkanką gminy, mimo że od tabliczki z napisem „Zielona Góra" moje osiedle dzieliło raptem 1,5 kilometra. Jednakże praca w centrum miasta sprawiała, że nie czułam się łężyczanką, lecz zielonogórzanką. Co zmieniło się po 1 stycznia 2015 roku, od kiedy nas przyłączono do miasta? Otóż dla mnie trzy, dość istotne udogodnienia:

Częstsze kursowanie jedynego autobusu, który z miasta jeździ do Łężycy. Chodzi o numer 23. Do tej pory kursował raz na godzinę w godzinach do popołudniowych, później już co 1,5 godziny. Teraz mamy go do naszych usług co 30 minut. Związana z tym jest również obniżona cena biletu. Przed połączeniem bilet w jedną stronę kosztował

nas 4,20 zł. Od 1 stycznia 2015 roku zrównaliśmy się z miastem i płacimy 3 zł. Dla mieszkańców tego osiedla nie mających własnego środka transportu jest to niezwykle istotna rzecz, gdyż dorośli mogą spokojnie dojechać z rana do pracy, a dzieci i młodzież – w znakomitej większości uczące się w Zielonej Górze – do szkół.

Przeprowadzenie remontu główniej drogi wiodącej na nasze osiedle – ulicy Batorego i Odrzańskiej w 2014 roku. Był to bardzo istotny manewr, ponieważ główna ulica Odrzańska wiodąca bezpośrednio na moje osiedle wreszcie została oświetlona oraz – co najistotniejsze – wydzielono chodniki dla pieszych, trasy dla rowerzystów i biegaczy. Do tej pory mieszkańcy mojego osiedla minąwszy za Ogrodnictwem tabliczkę z napisem „Zielona Góra" pogrążali się w egipskich ciemnościach, idąc skrajem ulicy do swoich domów, po której z zawrotną prędkością jeździli szczęśliwcy posiadający swoje własne środki transportu.

Możliwość aktywnego uczestnictwa w życiu miasta związanego z na przykład z głosowaniem w wyborach (samorządowych, na prezydenta miasta, w budżecie obywatelskim itp.) czy też uczestnictwie w programie Zgrana Rodzina. Do momentu połączenia miasta z gminą nie mieliśmy tej istotnej możliwości, mimo iż każdy mieszkaniec osiedla czuł się bardziej zielonogórzaninem niż łężyczaninem. Będąc codziennie w mieście nie mogliśmy korzystać z udogodnień oferowanym pełnoprawnym mieszkańcom miasta. Teraz należy nam się to jak psu zupa.

Zenon Rabęda
przewodniczący Rady Dzielnicy Nowe Miasto
STARY KISIELIN

Za połączeniem gminy wiejskiej z miastem byłem już w 2002 r., kiedy ówczesny prezydent Zielonej Góry wystąpił z taką propozycją do wójta gminy wiejskiej. Wójt był za, ale stawiał warunki trudne do zaakceptowania. Udało się to dopiero dwa lata temu. Będąc za połączeniem gminy wiejskiej z miejską, widziałem w tym przede wszystkim interes społeczny. Połączenie dawało większą szansę młodemu pokoleniu. Młodzi już nie byli ze wsi. Właściwie to mieszkańcy podzielonogórskich wiosek od dawna byli zielonogórzanami. Wszystko, co ich dotyczyło, łącznie z urzędem gminy istniało w mieście, gdzie pracowali, gdzie się uczyli, gdzie chodzili na koncerty, wystawy, spektakle teatralne. Do swoich wiosek wracali jedynie na noc. Rano wyjeżdżali czy to autobusami MZK, czy własnymi samochodami. Zdecydowana większość mieszkańców była za, władze gminy przeciw. Władze przekonywały, że po połączeniu mieszkańcy dużo stracą. Na przykład swoją tożsamość. Nie sądzę, żeby mieszkańcy byli mocno przywiązani do gminy, która powstała w 1973 roku z połączenia gmin Racula i Zielona Góra. Mieszkańcy utożsamiali się ze swoimi wioskami. W tej sprawie nawet po połączeniu z miastem nic się nie zmieniło w sensie tożsamości.

W Starym Kisielinie, gdzie mieszkam, gołym okiem widać efekty połączenia. Za pierwsze pieniądze w ramach bonusa połączeniowego, a było to prawie 570 tys. zł powiększyła się remiza straży pożarnej, co kosztowało 450 tys. zł. Za resztę powstała siłownia na powietrzu, plac zabaw, kawałek chodnika i zostały oczyszczone rowy melioracyjne. Za następne pieniądze, a w podziale bonusa Stary Kisielin ma do wykorzystania 8 mln zł, będą remontowane i budowane drogi oraz oświetlenie. Już za 1,5 mln zł została utwardzona ulica Szkolna. W końcowej fazie jest opracowywanie dokumentacji na kolejną drogę za 2 mln zł. W zasadzie wszystko, co zostało uzgodnione przed połączeniem, jest wykonywane.

Do centrum można dostać się autobusem MZK. Autobusy jeżdżą co pół godziny w dni powszednie, w soboty i święta rzadziej. Cena biletu w całym mieście jest taka sama.

Jarosław Skorulski
prezes Stowarzyszenia „Nasze Zatonie"
ZATONIE

Przed połączeniem mieszkańcy byli podzieleni na zwolenników i przeciwników tej fuzji. Sporo obaw mieli rolnicy i ogrodnicy. Jednych i drugich straszono, że stracą dopłaty do produkcji rolniczej. Nic takiego się nie stało. Po dwóch latach, jakie upłynęły od połączenia administracyjnego ludzie widzą, że to się opłaciło i że wszystko to, co inicjatorzy połączenia obiecali, powoli jest realizowane. Co ciekawe, zaraz po połączeniu przeciwników jakby przybyło. Byli to ci, którzy spodziewali się natychmiastowych efektów. A pierwsze efekty są dopiero teraz, to i przeciwnicy coraz ciszej się odzywają.

Z punktu widzenia mieszkańców najważniejsza jest komunikacja, drogi i kanalizacja. W lipcu br. urząd miasta podpisał umowę z firmą, która wybuduje kanalizację ściekową. Za dwa, trzy lata zginą szamba i nieprzyjemny zapach. Widocznym efektem fuzji z miastem jest nowe boisko wielofunkcyjne. Po roku projektowania ruszył remont starej świetlicy i rozpoczęła się dobudowa nowej części. Bardzo ważne jednak dopiero przed nami. Mam na myśli rewitalizację parku wokół pałacu. Na razie pracują tam archeolodzy i geodeci. W pracowni projektowej trwa przygotowywanie dokumentacji. Na ten cel miasto pozyskało blisko 10 mln zł. Cały park, zajmujący 52 hektary, zostanie zrekonstruowany i doprowadzony do stanu użytkowania.

Mam nadzieję, że będzie to jeden z najpiękniejszych terenów zielonych w naszym regionie. Jeśli to się uda, być może uda się i z pałacem. Obiekt ma dużą wartość historyczną, niestety od lat powojennych jest w stanie ruiny. Fachowcy sprawdzili fundamenty i doszli do wniosku, że można na nich przeprowadzić odbudowę pałacu. Gdy to się uda, a jak większość zatonian

wierzę, że się uda, powstaną miejsca pracy w handlu i usługach.

Moim marzeniem jest budowa szlaku kajakowego na Śląskiej Ochli. Najpierw rzekę trzeba pogłębić i uregulować jej brzegi. Mam nadzieję, że za kilka lat zielonogórzanie będą tutaj urządzali spływy kajakowe.

Jan Smoter
sołtys
ZAWADA

Dyskusja przed połączeniem podzieliła mieszkańców Zawady dokładnie na pół. Głównym argumentem przeciwników było to, że wydłuży się droga do urzędu. Mieli rację. Do wójta każdy mógł się dostać i powiedzieć, co go „boli". Żeby się dostać do prezydenta miasta, trzeba się zapisać i czekać w długiej kolejce, a i to człowiek nie ma pewności, że prezydent go wysłucha. Drugim argumentem przeciwników było podejrzenie, że nie będą prowadzone zaplanowane inwestycje. W tej sprawie się pomylili. Po połączeniu została dokończona budowa kanalizacji. Niestety nie tak, jak to było w projekcie przedstawionym mieszkańcom przez wójta. Brakuje sieci kanalizacyjnej w tej części Zawady, która jest za drogą S3. Administracja miasta twierdzi, że na tę inwestycję na razie nie ma pieniędzy. Na moje pytanie zaadresowane do urzędu prezydenta, kiedy to się stanie, dostałem odpowiedź wymijającą.

Z tytułu włączenia Zawady do miasta otrzymaliśmy 8 mln zł tzw. bonusa. Na początku tłumaczono nam, że to specjalna nagroda. Teraz, kiedy domagamy się inwestycji, słyszymy, że skoro dostaliśmy bonus połączeniowy, to za te pieniądze powinniśmy budować, naprawiać. Odpowiadamy, że przecież płacimy podatki, jesteśmy częścią wielkiego miasta i dlatego nie zgadzamy się na to, żebyśmy byli traktowani jako ci gorsi. Bonus niemal w całości postanowiliśmy przeznaczyć na budowę i naprawę dróg. Za te pieniądze wyremontowaliśmy ulicę Papierniczą i Cmentarną oraz plac przy kościele. Na Winnej i Wrzosowej położymy polbruk i zbudujemy pobocza najazdowe. W kolejce czekają Leśna i Strażacka. Troszkę bonusowych pieniędzy wydaliśmy na budowę siłowni na wolnym powietrzu. Został lepiej zagospodarowany plac sportowo-rekreacyjny. Źle wykonano nawierzchnię boiska, przed czym przestrzegaliśmy administracje miasta. I teraz się okazało, że trzeba ją zmienić. Pieniądze wyrzucono w błoto.

Połączenie spowodowało, że częściej jeżdżą autobusy MZK. Bilety kosztują tyle samo co w centrum, a osoby po siedemdziesiątce nie płacą za przejazdy. Ale, i o to mamy pretensję, taksówkarze nadal traktują nas tak, jakbyśmy byli gminą. Za przejazd taksówką mieszkaniec Zawady musi zapłacić więcej niż mieszkaniec Jędrzychowa.

Grażyna Zwolińska
publicystka
SUCHA

Na pytanie, czy włączenie terenów naszej gminy do miasta było dobre, jedyna poprawna odpowiedź brzmi: tak. Kto ma choćby zdrowy dystans, powinien siedzieć cicho. I nie wypada kpić z tego, że jesteśmy więksi od Poznania. Należy wierzyć w opowieści z kampanii połączeniowej, że ranga miasta znacząco wzrosła po przyłączeniu „lasków, piasków i karasków". I w to, że staliśmy się metropolią.

Głowę dam sobie uciąć, że poznaniacy nie martwią się tym, że jesteśmy od nich ciut więksi. Bo to Poznań, mający cztery razy więcej mieszkańców, jest metropolią, a nie my. Nawet rodzinne miasteczko naszego prezydenta, Szprotawa, jest ponad dwa razy bardziej zaludnione niż ta powiększona Zielonka. O tym, co mieszkańcom oferuje Poznań, a co Zielona Góra, nawet nie ma co mówić.

Zżera mnie ciekawość, co dalej chcą zrobić miejskie władze z tym przedziwnym, rozlanym na wielkim terenie, administracyjnym tworem. Jak ma on wyglądać na przykład za 20 lat? Najgorsze co mogłoby się stać, to puszczenie wszystkiego na żywioł. Czy na pewno tak nie będzie?

A po co przyłączono moją wioskę? Po to, żeby jej mieszkańcy płacili wyższe ubezpieczenia za auta (bo już nie mieszkają na wsi?). A może po to, żeby – jako mieszczuchy – nie mogli już odliczyć od podatku dojazdów do pracy? Czy po to, żeby było im trudniej dostać się do władzy?

Przed przyłączeniem prezydenci Zielone Góry obiecywali nam na zebraniach piękne jezdnie i chodniki. Dziś musimy na to przeznaczać nasz fundusz integracyjny, choć to miasta ustawowym obowiązkiem jest dbać o drogi, nie naszym.

Plusy? Także są. Na przykład więcej kursów autobusów. Choć tyle czasu walczyliśmy, żeby usunąć absurdy z rozkładu jazdy (pomógł dopiero artykuł w „Gazecie Lubuskiej"). Nieco tańsze bilety MZK. Jest Karta Zgranej Rodziny. Jest dostęp do miejskich przedszkoli.

Ale dojazd taksówką nadal kosztuje w dzień (!) 50-60 zł, choć przecież mieszkamy już w mieście i nie powinniśmy płacić za kurs powrotny. W prawdziwych metropoliach, np. w Poznaniu, za to się nie płaci.

Jaka była gmina wiejska

Nowa gmina wiejska Zielona Góra powstała 15 stycznia 1976 r. z połączenia gmin Racula i Zielona Góra. Obie gminy zostały utworzone 1 stycznia 1973 r. Pierwsza gmina Racula istniała w latach 1945-1954, wtedy składała się gromad: Drzonków, Jędrzychów, Kiełpin, Nowy Kisielin, Racula, Stary Kisielin, Sucha i Zatonie. W tym samym czasie w skład gminy Zawada wchodziły gromady: Chynów, Jany, Krępa, Przytok i Zawada. Jeleniów, Jarogniewice i Kiełpin należały do gminy Broniszów. Przylep był w gminie Płoty. Tuż przed przyłączeniem gmina wiejska Zielona Góra zajmowała 220,45 km kw. Na tym obszarze mieszkało 17 739 osób.

Irena B. Jamniczek

Fryderyka Chopina 19 A

Dla niektórych z nas największą zaletą życia jest jego przewrotność i mnogość wariantów jego ewolucji, tak jak wiele jest różnych odmian i rodzajów sushi. Największymi zaś radościami życia są dobra książka, kieliszek wina, spotkania z przyjaciółmi i ciekawa rozmowa podczas wspólnej biesiady…

Cóż mogła więc uczynić podczas Winobrania trójka zielonogórzan ceniąca sobie (w ramach rozsądku) sybarytyzm? Ogłuszeni kanonadą dźwięków disco-polo z nadmiernie dziś eksploatowanym Zenkiem M., szerokim łukiem ominęliśmy kramy z zapiekankami, kiełbasą z grilla, goframi oraz kukurydzą i udaliśmy się na poszukiwania potrawy, która dobrze skomponowałaby się rieslingiem z podzielonogórskich winnic. Zaciskaliśmy powieki widząc, jak na tle szlachetnego budynku muzeum powiewają rozwieszone na straganach biustonosze i gacie w rozmiarach namiotu. Pogrążeni w dyskusji doszliśmy do ul. Chopina i oczom naszym ukazał się wiatrak… Decyzja była jednomyślna, dzisiaj uraczymy się sushi.

Składnikiem, który definiuje to danie jest zakwaszony octem ryż – shari. Każda potrawa z udziałem takiego ryżu (i tylko takiego), to sushi, bez względu na kształt i dodatki. Oryginalne japońskie sushi zawiera tylko jeden dodatek, nie łączy się różnych smaków, ale w Stanach Zjednoczonych powstały między innymi takie odmiany, jak California Roll (z awokado, krabowymi paluszkami i ogórkiem), Spider Roll (ze smażonym krabem i dodatkami), Philadelphia Roll (z łososiem, białym serem, ogórkiem i cebulą). Tradycyjnie sushi spożywa się palcami lub pałeczkami. Podaje się sos sojowy do maczania, zielony japoński chrzan wasabi o intensywnym smaku i marynowany imbir, który spożywa się (w małych ilościach) pomiędzy różnymi rodzajami potrawy dla oczyszczenia kubków smakowych. Do sushi najczęściej zamawia się zieloną herbatę, ale my przecież mieliśmy naszego rieslinga.

Wybór zestawu był trudny, ostatecznie wybraliśmy set, który usatysfakcjonował każdego z nas (dla wielbicielki owoców i warzyw – hosomaki z awokado i mango, dla fana owoców morza – California maki, a dla tej, która lubi po trosze wszystkiego – futomaki z pikantnym tuńczykiem). Wraz ze spustoszeniami, które poczyniliśmy na talerzach i w kieliszkach, rozmowa zeszła z błahostek na tematy poważniejsze. Ta najbardziej dociekliwa zaczęła się zastanawiać, dlaczego sushi w wiatraku. Przecież wiatrak nie wodny był, a holenderski? Ta najbardziej rozgadana zasypała współbiesiadników pytaniami: a od kiedy ten wiatrak tu stoi, a jak się to miejsce nazywało? A czy tu też była winnica? A kto go wybudował? W końcu sama się uciszyła przy pomocy kawałka futomaki, co dało sposobność temu z zacięciem dydaktycznym na wygłoszenie miniwykładu.

Wiatrak zbudowano w 1811 r. na szczycie Lipowego Wzgórza obsadzonego winnicami. Miał kilku właścicieli. Jednym z nich był radny Samuel Beckmann. Ostatnią osobą wpisaną do ksiąg wieczystych była panna Martha Bretschneider. Wtedy budynek pozbawiony był skrzydeł i bardziej przypominał basztę niż murowany holenderski młyn. Obecna rekonstrukcja ma 13 metrów wysokości i jest obłożona XIX-wiecznymi cegłami. Z technicznego punktu widzenia różni się od swojego poprzednika jedynie bazą. Tamta była oparta na sześciokącie, obecna jest okrągła. Wzrok przyciągają długie łopaty wiatraka. Z dużej odległości zdają się być wiotkie, przy bliższym oglądzie widać, że te blisko trzynastometrowe konstrukcje mają swój ciężar. Pełnią też zupełnie inną funkcję niż niegdyś. Dostarczają budynkowi energię.

fot. Alicja Błażyńska

W tym miejscu stał wiatrak już w 1811 r.

Nowy wiatrak powstał w latach 2011-2012 z inicjatywy zielonogórskiego biznesmena Jarosława Owsiannego, organizatora miejscowych targów. Ale to nie jedyna jego aktywność. Przez lata był właścicielem radio-taxi, wydawał gazetę, organizował imprezy masowe. J. Owsianny ma również ciekawe pasje. Jego ulubionym sportem, który realizuje z zawodową niemal sprawnością, jest paralotniarstwo. Uchodzi również za znawcę miodów i jest miłośnikiem historii Zielonej Góry. To ostatnie zainteresowanie zaowocowało właśnie ideą pieczołowitego odtworzenia przedwojennego młyna. W jego wnętrzach dziś mieści się siedziba firmy BIS, a na trzeciej kondygnacji restauracja serwująca sushi. Gdy jest ciepło, miłośnicy japońskich kulinariów mogą korzystać z przylegającego do niej tarasu pozwalającego na podziwianie krajobrazu miasta.

Wraz z upływem czasu towarzystwo zapadło w błogostan wynikający z napełnienia brzuchów, dyskusja więc także zaczęła zamierać. Wiadomo, że w Winnym Grodzie miejsc historyczno-gastronomiczno-rozrywkowych jest więcej, tylko trzeba ich poszukać, dlatego też kompania podjęła jednomyślnie uchwałę, że częściej będzie podążać śladami zielonogórskiej przeszłości, łącząc przyjemne (czyli wszelakie rozrywki, z naciskiem na konsumpcję) z pożytecznym.

Ojciec i matka Lubuskiego Muzeum Wojskowego

ROZMOWA Z DR. WŁODZIMIERZEM KWAŚNIEWICZEM – HISTORYKIEM BRONIOZNAWCĄ, BIEGŁYM SĄDOWYM, PISARZEM

– Drogi jubilacie, zanim zadam pierwsze pytanie, przyjmij najserdeczniejsze życzenia z okazji siedemdziesiątych urodzin.
– Nawzajem, również drogi jubilacie. Wiele nas łączy. Oprócz wieku Związek Literatów Polskich, długoletnia znajomość, miłość do miasta.

– Od urodzenia do dziś mieszkasz w Zielonej Górze. Nigdy nie chciałeś stąd wyjechać do dużego miasta, gdzie tramwaje, gdzie rzeka...?
– Nigdzie nie czułbym się tak dobrze jak w Zielonej Górze. To miasto jest dla takich jak ja. Ani za duże, ani za małe. Ma filharmonię, teatr, biblioteki, galerie, muzea, archiwa, artystów, uniwersytet. Jest gdzie wyjść i z kim się spotkać. Podyskutować. Do tego miasto jest zielone, położone na wzniesieniach, z legendą winiarską.

– Nie kuszono cię ofertami pracy w większych ośrodkach?
– Niedługo po obronie pracy doktorskiej dostałem propozycję przeniesienia się do Poznania. Tamtejsza Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Pancernych poszukiwała wykładowcy bronioznawcy ze stopniem doktora. Żona powiedziała nie. Później Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie chciało mnie mieć w swojej kadrze. Żona znowu powiedziała nie. O radę poprosiłem Janka Muszyńskiego, wtedy dyrektora Muzeum Ziemi Lubuskiej, którego też kuszono Warszawą. Powtórzył za Napoleonem: „Lepiej być pierwszym w Lyonie niż drugim w Paryżu".

– Zanim skończyłeś historię na uniwersytecie w Poznaniu, studiowałeś polonistykę. Czy mając dyplom polonisty, wydany przez studium nauczycielskie, uczyłeś dzieci?
– Na polonistykę w studium nauczycielskim poszedłem dlatego, żeby ukryć się przed wojskiem. Po maturze zdawałem na historię sztuki na Uniwersytecie Wrocławskim. Z powodu braku miejsc nie dostałem się na tę uczelnię. Po ukończeniu studium, z dyplomem nauczyciela polonisty, rozpocząłem pracę w Młodzieżowym Domu Kultury. Najpierw byłem instruktorem, później awansowałem na dyrektora. Nigdy nie byłem nauczycielem języka polskiego.

– Domyślam się, że w domu kultury prowadziłeś sekcję modelarską lub kolekcjonerską.
– Modelarstwo mnie raczej nie zajmowało. Co innego kolekcjonerstwo. Urodziłem się na Zamkowej, gdzie mieszkali rodzice, właściwie w Elżbietankach. Tam, na Zamkowej, jeszcze zanim poszedłem do podstawówki, zbierałem to, co pozostało po Niemcach. Chodzi mi przedmioty, które da się zaliczyć do uzbrojenia. Jako wojskowe. Chociaż i interesowały mnie inne wyroby, na przykład waza grecka, którą z tamtego domu mam teraz w swoim mieszkaniu.

– Pamięć podpowiada mi, że wszystko co najciekawsze w zielonogórskim muzealnictwie, zaczęło po 1976 roku, kiedy szefem placówki przy alei Niepodległości został doktor Jan Muszyński.
– Janek miał interesujące pomysły i umiał słuchać współpracowników. Na początku jego dyrektorowania wyodrębniło się Muzeum Etnograficzne. Potem usamodzielniło się muzeum archeologiczne. Jako trzecie powstało muzeum wojskowe. Nie udało się utworzyć muzeum historii miasta, chociaż wszystko było na dobrej drodze.

– Jaka była zielonogórska droga do muzeum wojskowego?
– W połowie lat siedemdziesiątych władze województwa, te polityczne przede wszystkim, doszły do wniosku, że w mieście Festiwalu Piosenki Radzieckiej powinno być coś, co będzie dotyczyło wyzwalania Ziemi Lubuskiej przez Armię Czerwoną. To dyrektor Muszyński powołał dział braterstwa broni, mnie stawiając na jego kierownika. Tak się zapaliłem do tego zadania, że byłem gotów jechać do Korczakowa koło Cybinki, gdzie rdzewiały działka przeniesione z cmentarza radzieckiego w Zielonej Górze. (Dzisiejszy plac Bohaterów.) Zastępca dyrektora Marian Kwapiński zaproponował ustawienie tych dział w Drzonowie, o którym ja wówczas nic nie wiedziałem.

fot. Alicja Błażyńska

Włodzimierz Kwaśniewicz – ur. 1947 r. w Zielonej Górze, doktor nauk humanistycznych w zakresie historii, bronioznawca, członek Związku Literatów Polskich.

– Budowla była zdewastowana. Zresztą większość zabytków nadawała się do rozbiórki lub gruntownego remontu.
– Remont pałacu w Drzonowie zaczął się w 1978 r. Trwał siedem lat. Głównie remont pałacu i jego adaptacja na potrzeby muzealne, a przy okazji przygotowywanie miejsca pod eksponaty, które ze względu na swoje gabaryty nie mieściły się pod dachem. Trwał remont i jednocześnie odbywało się gromadzenie eksponatów. Pierwsze stanęły w parku przypałacowym już w 1978 r., był to czołg średni T-34/85, śmigłowiec SM-2 i samolot bombowy Ił-28. W 1985 r. odbyło się uroczyste otwarcie Lubuskiego Muzeum Wojskowego w Zielonej Górze z siedzibą w Drzonowie. Dziś jest to jedna z najważniejszych placówek tego typu Polsce i licząca się w Europie. Muzeum ma 30 samolotów i śmigłowców, czołgi, armaty, działa, haubice, transportery opancerzone, radary, wyrzutnie, rakiety i dziesiątki innego sprzętu. Więcej ciężkiego sprzętu wojskowego ma tylko Muzeum Wojska

Polskiego w Warszawie. Pod względem ilości samolotów zielonogórską kolekcję wyprzedza jedynie Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie. W pałacu jest prezentowana broń dawna, gabinet myśliwski, uzbrojenie i wyposażenie żołnierzy polskich od 1914 do 1945 r. Są tam organizowane wystawy okolicznościowe.

– Zaczynałeś od zera. Jak zdobywałeś eksponaty?
– To, co zostało po niemieckim Heimatmuseum i co zgromadziło Muzeum Ziemi Lubuskiej po drugiej wojnie, było skromniutkie. Jako dyrektor muzeum wojskowego, jako bronioznawca, jako autor artykułów szybko nawiązałem kontakty z wojskiem. Większość eksponatów to dary Wojska Polskiego.

– Jak długo byłeś szefem muzeum?
– Od powstania placówki w 1985 r. do przejścia na emeryturę. 27 lat. Do tego można dodać szefowanie działowi braterstwa broni, który powstał w 1978 r. Koledzy muzealnicy twierdzili, że byłem ojcem i matką Lubuskiego Muzeum Wojskowego.

– Jesteś muzealnikiem, ekspertem bronioznawcą i pisarzem. Ile książek wyszło spod twojego pióra?
– Dokładnie 20 po polsku. To przede wszystkim leksykony broni białej, miotającej, palnej, uzbrojenia ochronnego. Pięć książek dotyczy szabli. Napisałem także trochę gawęd i opowieści przydatnych kolekcjonerom. Trzy pozycje ukazały się po rosyjsku w renomowanym wydawnictwie petersburskim. Jedną książką jest zainteresowany wydawca angielski.

– To znaczy, że zbiłeś majątek na książkach.
– Żartujesz? Jesteś autorem powieści i zbiorów opowiadań, to dobrze wiesz, że z pisania trudno wyżyć. Na przykład za ostatnią rzecz wydaną po rosyjsku w Sankt Petersburgu dostałem 3,5 tys. zł.

– Czy już wiesz, że jako zielonogórzanin, który skończył siedemdziesiąt lat, możesz jeździć autobusami MZK za darmo?
– Za darmo to jeżdżę od 2007 r., kiedy zostałem Honorowym Obywatelem Zielonej Góry. Jestem także Honorowym Obywatelem Gminy Świdnica.

– Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Alfred Siatecki

Trzy pytania do... Krzysztofa Koziołka

– „Furia rodzi się w Sławie" wyszła w 2015 r. Była nominowana do nagrody literackiej Kryminalna Piła za najlepszą powieść miejską. Jej akcja dzieje się w 1944 r. w Schlesiersee, czyli dzisiejszej Sławie. Ile w niej jest prawdy i ile fikcji literackiej?
– To, co w skrócie nazywam scenografią, czyli informacje dotyczące uwarunkowań społecznych, politycznych, kulturalnych i religijnych, które pozwalają czytelnika przenieść w tamte czasy, to autentyki. Warstwa kryminalna to w większości fikcja, aczkolwiek też nie do końca, bo z „Furią" był taki dziwny przypadek, że najpierw pojawił się pomysł na dość nieprawdopodobną intrygę, a potem, kiedy zacząłem zbierać materiały do książki, zaczęło się okazywać, że wiele z rzeczy, które sobie pierwotnie wymyśliłem, chyba naprawdę się w Schlesiersee wydarzyły.

– Na początku tego roku w warszawskim wydawnictwie Akurat ukazała się „Góra Synaj". Dwoje bohaterów „Furii..." czytelnik spotkał w nowej powieści. Jej akcja dzieje się w międzywojennym Glogau (Głogów) i Neusalz (Nowa Sól). To także od początku do końca fikcja literacka?
– Z tym kryminałem retro było podobnie, aczkolwiek ze zbieraniem materiałów, czyli tzw. researchem miałem dwa razy więcej pracy, jako że akcja dzieje się równolegle w dwóch miejscach. Z recenzji wiem, że czytelnikom taki zabieg przypadł do gustu.

– Jesienią wyjdzie „Wzgórze Piastów", którego fragment drukujemy w tym numerze „Na winnicy". Akcja tej powieści rozgrywa się w Grünbergu (Zielonej Górze) także przed drugą wojną. Skąd czerpałeś wiedzę o tamtych czasach?
– Z dziesiątek książek, setek artykułów i tysięcy widokówek. Nie przesadzam, naprawdę tyle tego było. Dość powiedzieć, że tylko do tego kryminału przeczytałem sześć tysięcy stron książek! Ważną rolę ogrywa też pomoc historyków zawodowych i amatorów, którzy potrafią naprowadzić na ciekawe tropy. Listę takich osób zamieszczam zwykle w podziękowaniach na końcu książki, żeby chociaż w ten skromny sposób odwdzięczyć się za wsparcie.

AS

fot. archiwum autora

Krzysztof Koziołek – ur. w 1978 r. w Zielonej Górze, skończył politologię na Uniwersytecie Zielonogórskim. Pracował w „Gazecie Lubuskiej" i „Tygodniku Krąg". Jako prozaik zadebiutował w 2007 r. powieścią sensacyjną *Droga bez powrotu. Wzgórze Piastów* jest jego trzynastą książką. Mieszka w Nowej Soli.

Krzysztof Koziołek

Tajemnica fabryki Beuchelta

Poniedziałek, 3 kwietnia 1939

Franziska była jedną z niewielu kobiet w okolicy, które nie dość, że same jeździły automobilem, to jeszcze sportowym. Ze swojego najnowszego nabytku – kupionego niespełna rok temu – była szczególnie dumna. Adler miał pojemność 2,5 litra i mógł się rozpędzić prawie do 150 kilometrów na godzinę, co kilkakrotnie sprawdziła na autostradzie. Czarne, mocno zaokrąglone kształty automobilu pasowały do charakteru właścicielki, a przy tym robiły ogromne wrażenie, i to nie tylko na kobietach.

Tym razem jednak adlera musiała odstawić do jednego z dwóch warsztatów wulkanizacyjnych w mieście, do Paula Schrecka, który zajmował się też ślusarstwem. W kamienicy przy Bahnhofstrasse 30a oprócz niego działały również dwa inne zakłady ślusarskie, swoje miejsce spotkań mieli adwentyści dnia siódmego oraz fryzjer, z którego usług hrabina nie miała jeszcze okazji korzystać.

Zostawiwszy automobil pod czujnym okiem mechanika, wolnym krokiem doszła do Adolf-Hitler-Platz[1], przecięła go i dotarła do dworca Szprotawskiego znajdującego się obok głównego dworca kolejowego. Kolejka szprotawska miała pięćdziesiąt kilometrów długości i prowadziła do Sprottau[2]. W 1911 roku uruchomiła ją prywatna berlińska firma Lenz & Co. do spółki z miejscowymi przedsiębiorstwami, którym zależało na wybudowaniu bocznic wiodących do licznych zakładów przemysłowych położonych na terenie Grünbergu. Tabor składał się z czterech parowozów oraz blisko pięćdziesięciu wagonów – w większości towarowych. W dni robocze trasę obsługiwały trzy pary pociągów towarowo-osobowych, w soboty, niedziele i święta dwa. Do czasów kryzysu przewozy były dochodowe, potem zaczął się gorszy okres, a liczba pasażerów spadła ze 113 tysięcy rocznie do zaledwie kilku tysięcy.

Także teraz jedyny wagon osobowy świecił pustkami, co idealnie odpowiadało potrzebom Franziski. Pociąg toczył się wolno, miała więc czas na rozmyślania, zanim pokonał siedem kilometrów dzielących dworzec Szprotawski od przystanku kolejowego w Heinersdorfie[3], wsi położonej na południe od Grünbergu. Kilka kolejnych minut zajął jej spacer do głównej drogi, przy której – naprzeciwko samotnej dzwonnicy – stała gospoda Pod Lipą.

Tak jak się domyślała, Józef Wasiak już na nią czekał, nawet nie próbując kryć zniecierpliwienia.

– Spóźniłaś się – rzekł cicho, odsuwając jej krzesło.

– Przyjechałam kolejką szprotawską – wyjaśniła.

– Dlaczego nie automobilem?

– Musiałam go zostawić u wulkanizatora.

Pojawił się kelner, złożyli zamówienie. Hrabina wybrała szynkę zapiekaną w winie burgundzkim, Wasiak zupę z byczych ogonów i pieczeń z kaczki z duszoną kapustą.

– A automobil Aleksandra? – wrócił do przepytywania, gdy tylko kelner oddalił się na bezpieczną odległość. Bez niego mogli rozmawiać swobodnie, poza nimi w gospodzie nie było nikogo.

– Automobil Aleksandra? – Uniosła wysoko brwi. – Miałam przyjechać na spotkanie białym oplem, pewnie jedynym takim nie tylko w mieście, ale i w całym powiecie? A może od razu powinnam sobie na szyi zawiesić tabliczkę z informacją, że jadę na spotkanie z kochankiem będącym jednocześnie...

– Cicho! – Przytknął palec do jej ust. – Wystarczy. Masz rację.

– Z tych samych względów nie skorzystałam z omnibusu, mimo dogodnego połączenia. Jeździ nim dużo więcej osób niż kolejką...

– Powiedziałem: wystarczy – przerwał jej delikatnie. – Masz rację, przepraszam, niepotrzebnie się uniosłem. Po prostu zacząłem się obawiać, że coś ci się stało.

– Spóźniłam się zaledwie kwadrans. – Spojrzała na niego, próbując wywnioskować, czy troska była autentyczna, czy może użył jej jako wymówki dla swojego zachowania. Ostatnio coraz częściej zdarzały mu się tak gwałtowne wybuchy. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy jego uczucie do niej nie było już tylko wspomnieniem.

– Skupmy się na obiedzie. – Wasiak wskazał głową kelnera niosącego talerze pełne parującego jedzenia. – Smacznego.

– Smacznego – odparła, przyglądając się Józefowi.

Rzucił się na zupę z takim zapałem, jakby był bliski śmierci głodowej. Nie przeszkadzało mu nawet to, że była gorąca. Kiedy wkładała do ust pierwszy kęs szynki, jego talerz był już w połowie pusty.

Odczekała chwilę, sprawdziła, czy kelner nie kręci się gdzieś w pobliżu, po czym podała Józefowi puzderko z pudrem do makijażu. Nawet gdyby ktoś je otworzył, nie dostrzegłby starannie ukrytego schowka, w którym mieścił się mikrofilm. Otrzymała od niego identyczne, tyle że puste, po czym w kilku zdaniach opisała sfotografowane wczoraj dokumenty.

– A teraz najważniejsze... Wczoraj Aleksander zdradził, że przenosi się ze swoją pracownią do fabryki Beuchelta.

– Beuchelta? – powtórzył cicho, ale po oczach widać było, jak duże wrażenie zrobiła na nim ta informacja.

– Tak – potwierdziła. – Tego od wagonów i mostów. Nic więcej nie chciał powiedzieć, podejrzewam, że jest potrzebny do zaprojektowania jakiejś stalowej konstrukcji. Bo co innego miałby tam robić?

Wasiak westchnął.

– Wiesz więcej niż ja, prawda? – spytała, widząc jego minę.

– Od kilku lat fabryka Beuchelta zajmuje się także innym rodzajem działalności niż ten znany z folderów reklamujących luksusowe wagony sypialne, szpitalne czy autobusy pocztowe. Wszystko oczywiście przeznaczone na rynek, tak to nazwijmy, cywilny – wyjaśnił. Pochylił się, po czym mówił dalej, ściszywszy głos. – W zeszłym roku zakład wyprodukował dla wojska trzysta pięćdziesiąt wagonów specjalnych, pięćdziesiąt dwa autobusy, trzysta automobili aprowizacyjnych, prawie

1 pl. Kolejarza.
2 Szprotawa.
3 Jędrzychów (obecnie dzielnica Zielonej Góry).

trzy tysiące przyczep automobilowych i czternaście ciągników saperskich.

– Dokładne dane – szepnęła. – Nawet bardzo. Macie kogoś wewnątrz?

– Udało nam się dotrzeć do tych informacji, ale to był jednorazowy sukces – odparł. – Nie mamy tam nikogo. Żałuję... Może uda ci się wykorzystać Aleksandra? Jako jego żona będziesz go chyba mogła odwiedzać?

– Zobaczymy. Na razie nie mogę niczego obiecać – ucięła. – Ale jest coś jeszcze.

– Tak właśnie się wydaje na zdrowy rozum. – Uśmiechnął się. – Ale zwróć uwagę na swoje wątpliwości i przypomnij sobie, że najciemniej jest pod latarnią. Taki dystans dla automobilu to żadna odległość, a gdyby esesmani uwili sobie gniazdko w pobliżu, to u Beuchelta aż by się od nich roiło. Rzucaliby się w oczy jak samotna locha w stadzie macior.

– Chyba nie mogłeś tego wyjaśnić jaskrawiej. – Cmoknęła z dezaprobatą.

– Mniejsza o język. – Machnął ręką.

– Powiedz, co się dzieje – powtórzyła. – Wiem, że wiesz.

– Wszystko wskazuje na to, że Niemcy szykują się do wojny.

Franziska skryła twarz w dłoniach, ale szybko się otrząsnęła.

– Kiedy? – spytała po chwili.

– Wkrótce. – Udał, że intensywnie nad czymś myśli. – Musisz zrobić wszystko, żeby dostać się do Beuchelta... Trzeba dowiedzieć się, czym się tam zajmują. Co jest tak ważne, że przysłano SS.

Kartka pocztowa z kolekcji Grzegorza Biszczanika

– Zamieniam się w słuch.

Franziska opowiedziała o posterunku przy restauracji Wzgórze Piastów, podkreślając, że nie mógł pojawić się wcześniej niż kilka dni temu. Zwróciła też uwagę na fakt, iż lokal zamknięto dla klientów, tłumacząc to remontem.

– I to jest ten moment, kiedy trzeba na stół wyłożyć wszystkie karty. – Wasiak zatarł dłonie. – Dotarły do mnie informacje, jakoby grupa esesmanów pojawiła się w Grünbergu. Jednego czy dwóch widziano na terenie fabryki Beuchelta. Co istotne, nie są to miejscowi esesmani, tylko spoza miasta, z jakiejś ważnej jednostki. Jeśli dodać do tego twoje spostrzeżenia z restauracji...

– To mi nie pasuje – wtrąciła. – Zakład i Wzgórze Piastów dzieli niemal całe miasto, dookoła restauracji są tylko same winnice, parki i lasy. Esesmani powinni chyba mieszkać bliżej fabryki?

– Znów pojawia się Beuchelt i twoja rola.

– O ile uda mi się tam dostać... – przypomniała.

– Musisz zrobić wszystko... – Wasiak się zawahał. – Coś się zaczyna dziać...

– Co masz na myśli? – Zaniepokoiła się.

– Nie mogę mówić o szczegółach, zresztą, wiem tylko mały ułamek tego, co dociera do moich szefów, ale nagle wszyscy dostali białej gorączki... Pojawiły się nowe rozkazy... Ciągłe żądania raportów... Istne wariactwo! Doszło do tego, że oczekuje się od nas pracy bez względu na ryzyko, nawet z narażeniem życia...

– Co się dzieje?!

– Tydzień temu usłyszałem, że życie jednostki jest niczym w porównaniu z dobrem całego narodu. – Zignorował pytanie. – Uwierzysz?

W tym momencie do sali weszły dwie pary. Zachowywały się dość głośno, co sugerowało, że to stali bywalcy lokalu.

Wasiak doszedł do wniosku, że nie ma sensu bardziej ryzykować, zwłaszcza że omówili wszystkie ważne sprawy. Zrezygnowali z kawy, zapłacili za obiad, wyszli na zewnątrz, tam szybko się pożegnali: on wsiadł do swojego automobilu, ona ruszyła w kierunku przystanku kolejowego. Była przy tym tak wstrząśnięta informacją o zbliżającej się wojnie, że zupełnie zapomniała powiedzieć Józefowi o spotkaniu z Charlotte Stempel.

Fragment powieści „Wzgórze Piastów", która ukaże się wiosną 2018 r. w warszawskiej oficynie Akurat, imprincie wydawnictwa Muza. Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji.

Władysław Klępka

Limeryki

Siedzi Bachus na beczce podczas Winobrania,
dwór pokotem leży, od picia się wzbrania.
A swojskie sikacze
niczym dopalacze
czynią mętlik w głowie, stąd ciało się słania.

***

W zielonym mieście na ulicy Ptasiej
niebieskie ptaki przydybały Stasię,
jak chciała z wała
zrobić konowała.
Fakt ten rzetelnie opisano w prasie.

***

Ja jako były działacz kultury
jaja kobyły wciskałem w dziury
w plusie ujemne.
Bardzo przyjemne
były to czasy Zielonej Góry.

***

W bok oślej łączki gdzie Piastowskie Wzgórza
wieża widokowa z lasu się wynurza.
Tylko na papierze,
ale mówiąc szczerze,
fikcja nas podnieca – czasem nawet wkurza.

***

Wyszła z lasu driada pośrodku winnicy,
z dojrzałego grona bierze garść słodyczy.
A na to komary,
szukając ofiary,
pikują zawzięcie, a radość aż bzyczy.

***

Niejedno dziewczę z Zielonej Góry
chętnie zagląda do mysiej dziury.
I szuka kotka,
który w opłotkach
ostro harcuje, aż lecą wióry.

***

Raz pewien facet w Zielonej Górze
gdy grali marsza – tańczył przy rurze.
Niczym kogut podniecony
w zalotach do cudzej żony,
zdarzyło mu się – zniósł jajo kurze!

Jak nie masz co robić, to jedź do Raculi,
dostaniesz buziaka od swojskiej krasuli.
Może jeszcze cosik,
ale tu już trzosik
solidnie wypchany należy wybulić.

***

Przez zielone błonie idąc na Zatonie
oto co widzisz – Cygan pasie konie
z pierwszego wzięcia.
Takiego za zięcia
chciałby mieć kowal pod lasem na stronie.

***

Zawiany facet wędrując przez Jany
patrzy dookoła, a tu same pany.
Jak wieść gminna niesie
gorszy sort po lesie
błąka się bez celu jakby był pijany.

***

W dzikiej okolicy blisko Jędrzychowa
Brzechwa kaczki liczył, kaczor fason schował,
udając dziwaka.
Stąd opowieść taka
weszła między wiersze, kto je spreparował?

Raz wzięty koniokrad podkradł się pod Kiełpin,
konia z rzędem ukradł, a teraz się chełpi,
że znalazł tu osła.
Fantazja go poniosła
pomiędzy bajeczki – czego wciąż nie cierpi.

***

Frasują się ludzie, bo tam gdzie jest Krępa
goła łania tydzień paraduje stępa.
Tamże biedne ciele
w piątki i niedziele
ryczy w okolicy – gdzie jest moja klępa?

***

Mówi dziarski chłopak z Łężyc
dla mnie zawsze świeci księżyc.
Gdy dopadnę dziewczyny,
nie wypuszczam spod pierzyny
i zachwalam sezon śnieżyc.

***

Rozważały muchy przy kościach
w Przylepie,
czy też w Peerelu nie żyło się lepiej.
Dawniej choć ochłapy,
teraz wciąż atrapy.
Nie masz znajomości – zawsze biedę klepiesz.

rys. Jacek Frąckiewicz

Sylwester Woźniak

Zanim zaczęło się Kabaretobranie

Zielona Góra to miasto, które nieodzownie kojarzy się z kabaretami. Niewielu wie, że w dziejach miasta był czas, kiedy ten rodzaj sztuki z trudem zdobywał sobie uznanie.

Okres ten należy porównać do ciemnej nocy, po której wstaje nowy słoneczny dzień, bowiem kiedy kabaret w końcu zyskał popularność w Zielonej Górze, to miasto niemal od razu stało się ważnym miejscem na kabaretowej mapie Polski.

Wraz z budową realnego socjalizmu praktycznie zamarło bujne życie kulturalne i towarzyskie, jakie toczyło się w Winnym Grodzie. W latach 50. władza ludowa promowała śpiewanie pieśni, malowanie obrazów i pisanie książek o masach pracujących, wielkich budowach itp. Wobec tego nie było miejsca na frywolne żarty, chichotki i wygłupy kabaretowe. Mimo tego w Zielonej Górze doszło do ostatecznego ukształtowania się środowisk twórczych. Związane one były z władzą i podporządkowane jej decyzjom. W dużym skrócie ujmując: w restauracjach i świetlicach powiało nudą.

Ożywienie zapanowało po 1956 roku, kiedy to władzę w Polsce przejął bardziej liberalny Władysław Gomułka. Wówczas odrzucono założenia socrealizmu w sztuce i możliwe stało się uprawianie rozmaitych form artystycznych. W tym też okresie w naszym mieście życie kulturalne ponownie rozkwitło. Spowodowane było to faktem, że cenzura była mniej ostra, a ludzie mogli łatwiej się organizować. To wówczas powstały amatorskie zespoły teatralne oraz muzyczne przy większych zakładach pracy, szkołach czy organizacjach młodzieżowych. O kabarecie w tym czasie zapomniano, ruch artystyczny skupił się raczej na poważniejszych formach ekspresji.

Dalsze ożywienie życia artystycznego w Zielonej Górze nastąpiło po 1965 r. Wówczas to swoją działalność rozpoczęła Wyższa Szkoła Inżynierska, dzięki czemu w mieście pojawiły się rzesze młodych ludzi. Należały one do nowego pokolenia, które buntowało się przeciw obowiązującym zasadom kulturalnym. To właśnie dzięki studentom do miasta zawitała muzyka jazzowa oraz amerykański bigbit. Żacy mogli spotykać się w dwóch klubach studenckich: U Jana i Fokusik, a wraz z powstaniem Wyższej Szkoły Nauczycielskiej zaczęli bywać w Ruchu. W 1968 r. w klubach studenckich działających przy WSI powstały kabarety A Kuku i Perpetuum Mobile.

W czasach Polski Ludowej działalność artystyczna musiała być w jakiś sposób powiązana z partią i władzą. Z tego też powodu oba kabarety firmowane były przez organizacje młodzieżowe. Pierwszy z nich działał przy Socjalistycznym Zrzeszeniu Studentów Polskich, zaś Perpetuum Mobile był objęty patronatem Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej. W zasadzie miały one doskonałe warunki do prowadzenia prób, gdyż wyżej wymienione kluby studenckie nie cieszyły się dużą popularnością. Żacy woleli bawić się w Studenckiej, w Palmiarni czy w Wieży Braniborskiej, gdzie mogli kupować alkohol i bez ograniczeń bawić się do białego rana. Pomimo tego wspomniane inicjatywy kabaretowe nie odegrały większego znaczenia w dziejach zielonogórskiego ruchu artystycznego. Szybko zakończyły swoją działalność. Podobnie rzecz miała się z kabaretem tworzonym przez studentów WSN. Jednak w jego przypadku nie wiadomo nawet, jaką posiadał nazwę i czy w ogóle wyszedł poza fazę prób. Wiadomo tylko, że istniał oraz że posiadał gotowe teksty skeczów i piosenek. W ocenie historyków zajmujących się kulturą, w latach 60. i 70. sytuacje, kiedy podejmowano się jakichś inicjatyw i ich nie rozwijano, uchodzą za normę.

W 1973 r. SZSP zorganizował pierwszy festiwal kultury studenckiej nazwany Bachanaliami. Zielonogórskie juwenalia dawały szansę na zaprezentowanie dorobku kulturalnego studentom. Okazało się, że dużą popularnością cieszy się teatr. Wówczas to zorganizowano festiwal teatru studenckiego. W 1976 r. w trakcie Bachanaliów zorganizowano Ogólnopolski Festiwal Studenckich Teatrów Debiutujących „Start 76". Z czasem impreza stała się cykliczna. Studenckie teatry powstawały i upadały, przekształcały się w nowe formy. Dzięki nim rozwinęły się kluby studenckie. W tym czasie przy Wyższej Szkole Pedagogicznej powstają kluby Zatem i Chochoł. Nie były one jedynie miejscem, gdzie się piło piwie czy tańczono. Przy Zatemie działała grupa literacka Kometa, zaś Chochoł stał się ostoją dla wszelkich dusz artystycznych. W 1984 r. lokal przeszedł metamorfozę i otrzymał nową nazwę – Gęba. Jest on znany jako miejsce, w którym narodziły się niemal wszystkie zielonogórskie kabarety. To tam sformowały się też grupy kabaretowe, które do dzisiaj podbijają serca Polaków, ale to już całkowicie inna historia.

Wieczór poetycki w klubie Gęba w 1976 r. *fot. archiwum Ewy Dumy*

Małgorzata Ziemska

Przygoda z muzyką

Jak zaczęła się ta przygoda z muzyką? Od wspólnych zainteresowań, wspólnego słuchania płyt, gorących dyskusji i od serdecznych, niezapomnianych, takich na całe lata, szkolnych przyjaźni.

Ważną rolę odegrało również szczególne, by przypomnieć choćby Makusynów, środowisko placówki funkcjonującej przy ulicy Chopina. Szkoła skupiała zdolną, pełną woli działania młodzież. W twórczym tyglu młodzieńczych pasji, zapału i artystycznych predyspozycji potrzebny był jeszcze przypadek.

Pionier zielonogórskiej muzyki młodzieżowej

Ryszard Łomski, który od 1976 roku mieszka w Finlandii, opowiada: „Latem 1964 r., będąc na obozie żeglarskim w Sławie, usłyszeliśmy trio, grające w świetlicy klubu. Zafascynowani brzmieniem gitary elektrycznej (tak naprawdę to była gitara akustyczna z wkładką od adapteru, włożoną pod struny przy mostku) nie wiedzieliśmy, że od tej chwili coś zmieni się w naszym życiu. Po powrocie z obozu założyliśmy zespół muzyczny, w skład którego weszli koledzy z tej samej klasy." Zespół otrzymał nazwę Świstaki. Należeli do niego: R. Łomski, Tadeusz Sroczyński, Marian Murzyński, Jerzy Motała i Paweł Kafarski.

W maju 1969 r. do grupy estradowej dołączyła młoda piosenkarka z Poznania, Anna Szmeterling (później Anna Jantar)

Początki nie były łatwe. Dzisiaj, kiedy gitarę można kupić w sklepie muzycznym, przez internet czy w markecie, trudno uwierzyć, że pierwsze instrumenty stanowiły arcydzieła pomysłowości i sztuki lutniczej. Na osiedlu Robotniczym mieszkał Mieczysław Solski, który z zawodu był lutnikiem. Na jego lutniczym talencie bazowały pierwsze zespoły młodzieżowe i tylko – jak wspomina R. Łomski – żona na widok kolejnych petentów ubolewała: „Panowie, Mietek mi wszystkie meble na gitary przerabia". M. Solski, nakłoniony przez R. Łomskiego, potrafił zrobić gitary podobne do tych, na których grali Beatlesi. W kwestii nagłośnienia i wzmacniaczy pomocą służył Wacław Górecki, który od 1957 r. prowadził punkt naprawy sprzętu RTV przy ul. Jedności Robotniczej. Nie tylko naprawiał stary, zepsuty bądź zużyty sprzęt. Umiał konstruować świetne wzmacniacze, w które zaopatrywały się zespoły z różnych stron Polski, między innymi CzerwonoCzarni.

Gdzie w tym okresie można było potańczyć czy posłuchać dobrej muzyki młodzieżowej? Popularnym miejscem spotkań był Relaks, prowadzony przez Franciszka Uścińskiego. Tu najlepiej udawały się potańcówki. Relaks miał prawdziwą scenę estradową i swoją grupę muzyczną. W wolne dni młodzież szturmowała drzwi wejściowe. Wobec sporej ilości chętnych sala okazywała się zbyt mała. Istniały też inne kluby, między innymi: Kolejarza, PKSu, Handlowca naprzeciw ratusza, Zastalu czy Polskiej Wełny, które wspierały działalność kulturalną. W każdym z nich, a także w niektórych szkołach średnich, działały zespoły, w większości – zgodnie z modą – gitarowe, które grały na imprezach tanecznych dla młodzieży. „Z nostalgią wspominam takie zespoły jak Synkopy, zespół wokalny Biedronki, Lubusze z solistką Barbarą Wieczorek, Piraci, Skamandry, Jotesi czy Skorpiony, a z założonych nieco później Innych oraz Akces, w którym dużą rolę odgrywał między innymi Eugeniusz Banachowicz" – pisze R. Łomski. Młodzieżowe zespoły gitarowe konkurowały ze sobą, a miejscem ich rywalizacji był przede wszystkim konkurs zespołów szkolnych, organizowany w kinie Newa. W 1966 r. Świstaki zajęły w nim drugie miejsce.

W 1966 r. w Międzyszkolnym Ośrodku Sportowym pojawiła się możliwość założenia międzyszkolnego zespołu muzycznego.

Tak powstali Jolanie

W skład zespołu weszli: Emil Czerniwczan, Włodzimierz Żurawski, Bogdan Springer, T. Sroczyński i R. Łomski. Funkcję opiekuna muzycznego pełnił bardzo lubiany przez Jolan Marian Gniazdowski. W 1966 r. Jolanie zajęli pierwsze miejsce w wojewódzkich eliminacjach Ogólnopolskiego Festiwalu Muzyki Nastolatków, a później czwarte miejsce w dalszych eliminacjach we Wrocławiu. Szybko stali się zespołem bardzo popularnym w Zielonej Górze i znanym w innych miastach na Ziemi Lubuskiej. Po eliminacjach we Wrocławiu zostali zaproszeni do koncertu na stadionie w Opolu, gdzie grali razem ze Skaldami i CzerwonoCzarnymi. Uczestniczyli również kilkakrotnie w konkursie piosenki polskiej, organizowanym co roku w Jeleniej Górze, oraz w licznych imprezach muzycznych w Zielonej Górze i województwie. Jedną z ich ciekawszych inicjatyw była Giełda Piosenki. Impreza, organizowana w kawiarni Hali Ludowej cieszyła się dużym powodzeniem wśród młodzieży. W ciągu trzech lat istnienia w składzie zespołu następowały zmiany, pojawili się nowi muzycy, między innymi Edmund Witczak (gitara), Ryszard Januszkiewicz (perkusja), Henryk Łuźny (gitara basowa), Daniel Herasimenko (instrumenty klawiszowe, wokal, kompozycje) i Zdzisław Judkowiak (instrumenty klawiszowe, saksofon). To właśnie Jolanie stworzyli muzykę do nakręconego w 1968 r. przez Lubuski Klub Filmowy obrazu „Wędrówki lubuskie". Film reklamował walory turystyczne Ziemi Lubuskiej. Na prośbę twórcy LKFu, Janusza Łomskiego, jego brat Ryszard skomponował muzykę do tytułowej piosenki. Słowa napisał Henryk Szylkin. Jolanie zakończyli działalność pod koniec 1968 r., kiedy to R. Łomski, R. Januszkiewicz, H. Łuźny i Z. Judkowiak połączyli się z Jarosławem Kukulskim, wówczas muzykiem oboistą, zatrudnionym w Filharmonii Zielonogórskiej, i Leszkiem Raczyńskim. W ten sposób pod patronatem Estrady Ziemi Lubuskiej powstał

Drugi skład zespołu Waganci

W 1969 r. Waganci w nowym składzie występowali w kilku województwach, dokonywali nagrań w studiu Polskiego Radia w Warszawie, w studiu Telewizji Poznań, występowali

Świstaki 1965: (od lewej) Ryszard Łomski. Marian Murzyński, Tadeusz Sroczyński, Jerzy Motała, Paweł Kafarski *fot. archiwum autorki*

w telewizji. Kompozytorem piosenek był przede wszystkim J. Kukulski. Do stałego repertuaru należały również dwie kompozycje R. Łomskiego, który zajmował się aranżacją utworów, podobnie jak Z. Judkowiak. Piosenka „Waganci witają was" rozpoczynała każdy występ, druga to wspomniane „Wędrówki lubuskie". W trakcie koncertów Waganci często w pierwszej części wieczoru akompaniowali ekipie międzynarodowych piosenkarzy, w drugiej prezentowali własny repertuar. W maju 1969 r. do grupy estradowej dołączyła młoda piosenkarka z Poznania, Anna Szmeterling (później Anna Jantar), która występowała w pierwszej części programu razem z innymi solistami. Waganci właściwie nieustannie podróżowali. Brak było dobrej aparatury, a przede wszystkim monitorów do kontroli wokalu i poziomu wykonania. Mimo że w tamtym czasie wynagrodzenie młodych wykonawców przekraczało pensje w wielu zawodach, nie pozwalało na zakup profesjonalnej gitary Les Paul czy Fender Stratocaster, wzmacniaczy gitarowych lub nagłośnienia, zatem większość polskich muzyków zaopatrywała się w instrumenty i w aparaturę, wyjeżdżając do pracy na Zachodzie. Powody osobiste sprawiły, że R. Łomski pod koniec 1969 r. opuścił Wagantów i przyjechał do Zielonej Góry. Podsumowując swoją dotychczasową karierę muzyczną, podkreśla: „Poznałem wielu wspaniałych ludzi, kolegów muzyków, zafascynowanych tym, co robiliśmy, którzy podobnie jak ja zakochali się w muzyce lat sześćdziesiątych."

Po powrocie do Zielonej Góry R. Łomski podjął pracę w Centrali Wynajmu Filmów, a później w Lubturze. Obdarzony nie tylko muzycznym talentem, lecz także zamiłowaniem do rysunku, projektowania i pisania tekstów, z uwagi na zajmowane w CWFie stanowisko, uczestniczył w organizacji kilku kolejnych imprez Lubuskiego Lata Filmowego w Łagowie. Był odpowiedzialny za reklamę i wydawnictwa związane z festiwalem. Jego wspomnienia uchylają rąbka spraw organizacyjnych popularnej imprezy. „Wszystkie druki na Lubuskie Lata Filmowe – pisze zlecałem do wykonania do BWA na alei Niepodległości. Do mnie należało też w nocy, przed wręczeniem nagród, dopilnowanie u wcześniej umówionego grawera w Poznaniu umieszczenia nazwisk laureatów na pucharach i nagrodach. A na jedno Lubuskie Lato Filmowe ze względu na oszczędności sam zaprojektowałem wszystkie druki i zaproszenia". Mimo nawału codziennych obowiązków nie zapominał jednak o gitarze. Spotykał się ze znajomymi muzykami, między innymi z Piotrem Studzińskim, Maciejem Korbankiem, Zdzisławem Miszewiczem, Kazimierzem Naumowiczem, D. Herasimenką, Ryszardem Pianowskim, Mieczysławem Zielińskim, by grać na różnych imprezach. Bale sylwestrowe, imprezy dla przedsiębiorstw czy dla młodzieży w klubie Relaks. Muzyka przyciągała jak magnes.

Waganci 1968, Przed Palmiarnią: (od lewej: Zdzisław Judkowiak, Henryk Łużny, Leszek Raczyński, Ryszard Łomski, Ryszard Januszkiewicz i Jaroslaw Kukulski *fot. archiwum autorki*

Dokończenie w następnym numerze

Radosław Domke

Odpoczynek po pracy

W poprzednim artykule („Nw" 1/2017) skupiłem się na zapomnianym świecie klubów studenckich. Teraz pozostaje odpowiedzieć na pytanie: czy mamy do czynienia z substytutem tego zjawiska, czy też jest wręcz przeciwnie?

Otóż obecnie jest morze klubów w centrum miasta, do których uczęszczają również (a może przede wszystkim) studenci, więc całe wyrażenie jest zgoła umowne i powinno raczej pozostać w cudzysłowie. Niemniej jednak warto poświęcić tym kontynuatorom nieco stronic i atramentu. Tym razem jednak nie będę stosował takiego zabiegu metodycznego jak w poprzednim tekście, postaram zaś się zgrupować lokale w grupy tematyczne.

Najpotężniejszą grupą są obecnie typowe puby, raczej nietaneczne. Często posiadają one ogródki otwarte przez całe lato. Ich podobieństwem jest przestrzeń w środku, która jest raczej mała, nierzadko też zatłoczona. Spośród nich wymienić należy U Svejka, Piwiarnię Warecką, Drink & Roll Bar, Jazzgot, One shot, Pijalnię zielonogórską, Jazzkino, Kawon. Rzecz jasna każdy z tych lokali posiada określoną specyfikę. Jazzgot odwiedza środowisko lekko zmanierowane, by nie rzec snobistyczne, Drink & Roll zbiera wygnańców z dawnych 4 róż dla Lucienne, Jazzkino zaś nową awangardową młodzież.

Tancbudy

Pod tym lekko tracącym myszką terminem pragnę ukryć wszelkiej maści lokale taneczne, od klasycznych dyskotek po kluby z parkietami, niestety nie zawsze używane w tych celach. W tym zbiorze ośmieliłbym się wymienić One Love, Strefę 67, X-Demon, Heaven (zwane przez młodzież Chlewen), Piekarnię Cichej Kobiety. Niektóre są wielkie niczym hale fabryczne, mogące pomieścić setki osób (X-Demon), inne wręcz przeciwnie, mają wymiar kameralny i klubowy (One Love). Niektóre posiadają sprecyzowany muzycznie profil, jak Strefa 67, będąca królestwem disco polo, inne zaś mają styl muzyczny raczej eklektyzujący, czego dobrym przykładem może być Piekarnia Cichej Kobiety, słynąca z jazzu, nie gardząca jednak innymi tonami.

Ostalgie

Termin ten zaczerpnąłem z niemieckiego słowa „Ostalgie", będącego określeniem specyficznej tęsknoty za wschodnimi Niemcami i komunistycznymi czasami. W Polsce w miejsce NRD występuje rzecz jasna PRL, a moda w naszym kraju na tego typu lokale sięga wielu lat. Jednymi z pierwszych był wrocławski Klub PRL, warszawska Oberża pod czerwonym wieprzem i Aurora w Karpaczu. W Winnym Grodzie tego typu lokali mamy zaledwie dwa, jednak są one wyraźnie sprofilowane. Pierwszy – Czar PRL-u samą nazwą sugeruje wnętrze i muzykę. Jest lokalem, gdzie niczym lata temu gość zostanie obsłużony przez eleganckiego barmana, który zaproponuje mu lornetę z meduzą, a bardziej zgłodniałemu klientowi bigosik lub tatara. W łazience non-stop lecą dowcipy polityczne z lat 80 poprzedniego wieku, a czarnobiały telewizor pokazuje produkcje również z minionej epoki. Troszkę inaczej jest w Klubokawiarni Staromiejskiej, również usytuowanej w pobliżu ratusza, która jednak nawiązuje do konkretnego lokalu znajdującego się tam 30 lat temu. Jest o wiele skromniejsza od Czaru PRL-u, podobieństwo jest jednak uderzające w zakresie podawania osłabionym klientom garmażerki. Z lokalem wiąże się również postać zmarłego niedawno pana Edwarda. Był to wiekowy już człowiek, który serwował w Klubokawiarni Staromiejskiej alkohol, a pracował jako kelner w okresie PRL. Pan Edward słynął z surowych zasad - jeżeli klient był nazbyt pod wpływem, to nie był obsługiwany.

Kolejną grupą będą restauracje, których ideą jest żeby również bywały miejscami spotkań towarzyskich, odbywających się nie tylko przy herbacie. Często cel drugi przesłania pierwszy, dlatego licznej klienteli zapewne nie przychodzi nawet do głowy, iż w miejscach tych można skonsumować klasyczne danie obiadowe z przystawkami. Do grupy tej zaliczyć należy Kawon, Jazzgot , Szaszlyk-house , U Svejka, Winiarnię Bachus".

Uważny czytelnik zauważy z pewnością, że niektóre nazwy dublują się

Czar PRL-u, ul. Krawiecka 6 *fot. Alicja Błażyńska*

z pierwszą grupą lokali. Otóż występuje tu pewien problem metodologiczny, gdyż np. Ceska Hospoda u Svejka jest pubem z barem, bilardem i ogromnym asortymentem czeskich piw i tak jest postrzegana przez odwiedzających. A przecież jest również restauracją. Każdy z tych lokali również ma swój ambient, dlatego wysublimowany klient wybierze Winiarnię Bachus, gdzie będzie mógł degustować wina z całego świata, skromny zaś amator kuchni i złotego trunku postawi na Szaszlyk-house, gdzie obok ukraińskiej kuchni podają jedno z najtańszych piw w mieście.

Przechodząc teraz do wniosków, miejsce kampusów uniwersyteckich w sensie rozrywkowym przejęło centrum miasta. To ono organizuje życie nocne młodzieży, wprowadzając zniżki na legitymację studenckie, a nawet służy cateringiem w Bachanalia. Rzecz jasna na dawnej Wyspie i Podgórnej ostały się pewne niedobitki jak WySPa, Gęba czy U Ojca. O pierwszym pisałem w poprzednim artykule, dlatego aby się zbytnio nie powtarzać, napomknę tylko, że jest to lokal znajdujący się w tym samym miejscu co dawna Kotłownia. Jego plusem jest więc przestronność i duży parkiet pośrodku, minusem zaś to, że często jest zamknięty i odbywają się tam sporadyczne imprezy tematyczne, które niekoniecznie przyciągają studentów. Dlaczego? Odpowiedź jest prozaiczna: trzeba zapłacić za wejście, a to już w budżecie żackim, odliczającym każdy grosz, jest lekka przesada. Podobny wymiar ma historyczna już Gęba, otwiera bowiem swe podwoje w celach imprezowych, gdy gości mniej bądź bardziej znane kabarety. Na co dzień niestety nic się tam nie dzieje. Trochę inny charakter ma klub U Ojca. Z definicji lokal jazzowy, takie też były jego początki. Z czasem przeistoczył się w typowe miejsce, gdzie po prostu posiedzieć mogą zwykli studenci, niekoniecznie marzący o tym, żeby posłuchać lokalnych aranżacji Milesa Daviesa czy zobaczyć na żywo, Miśkiewicza albo Dudziak. Dlatego nie boję się postawić tezy, że U Ojca jest jedynym klubem studenckim sensu stricto. Położony jest w sercu kampusu, skupia głównie klientelę studiująca na UZ, jest często otwarty oraz posiada przystępne ceny. Kampus A zresztą stoi pod tym względem odrobinę lepiej niż Kampus B, gdyż po drugiej stronie ulicy ostały się 2-3 lokale, które ciągle zmieniają nazwy i właścicieli, jednak trwają niestrudzenie na wieczornym posterunku od lat. Spośród nich należy wymieć obecny Stock Tovern, gdzie można napić się najtańszego mojito w całym mieście, zagrać w bilard oraz przyjąć coś na ząb. Bardziej tanecznym lokalem jest Studencka, znajdująca się kilkadziesiąt metrów dalej, w tym samym ciągu budynków.

Nie boję się postawić tezy, że U Ojca jest jedynym klubem studenckim, sensu stricte

Brać studencka nie gardzi też rozrzuconymi niczym archipelagi na oceanie osiedlowymi lokalami, jak np. słynna i ponadczasowa Centrala na Wojska Polskiego czy Snooker Club w pobliżu Kaczego Dołu. Jednak w żadnym z tych miejsc nie jest przytłaczającą większością. Mamy więc do czynienia ze zjawiskiem społecznym, w którym nastąpiło wymieszanie rozrywkowe studentów z ludźmi innych stanów społecznych, ba, nawet swoisty miks generacji, albowiem nie rzadko stolik dalej biesiaduje roześmiana grupa sześćdziesięciolatków, która często lepiej się bawi niźli pokolenie ich dzieci i wnuków.

Na zakończenie pragnę wspomnieć o takim właśnie lokalu, jakim jest otwarty tylko latem. To Ogródek Piwny Żywiec, zwany w kuluarach Kwaterą Główną. Właśnie on jest symbolem tej międzypokoleniowej i ponadstanowej więzi łączącej osoby pragnące w praktyce realizować rzymską maksymę Otia post negotia (co się tłumaczy tak, jak w tytule artykułu).

X-Demon, ul Kupiecka 63 *fot. Alicja Błażyńska*

Ryszard Błażyński

Konkursy na rysunek satyryczny

Dowcip, humor, satyra – z tego Zielona Góra znana jest nie tylko w Polsce, ale i na świecie.

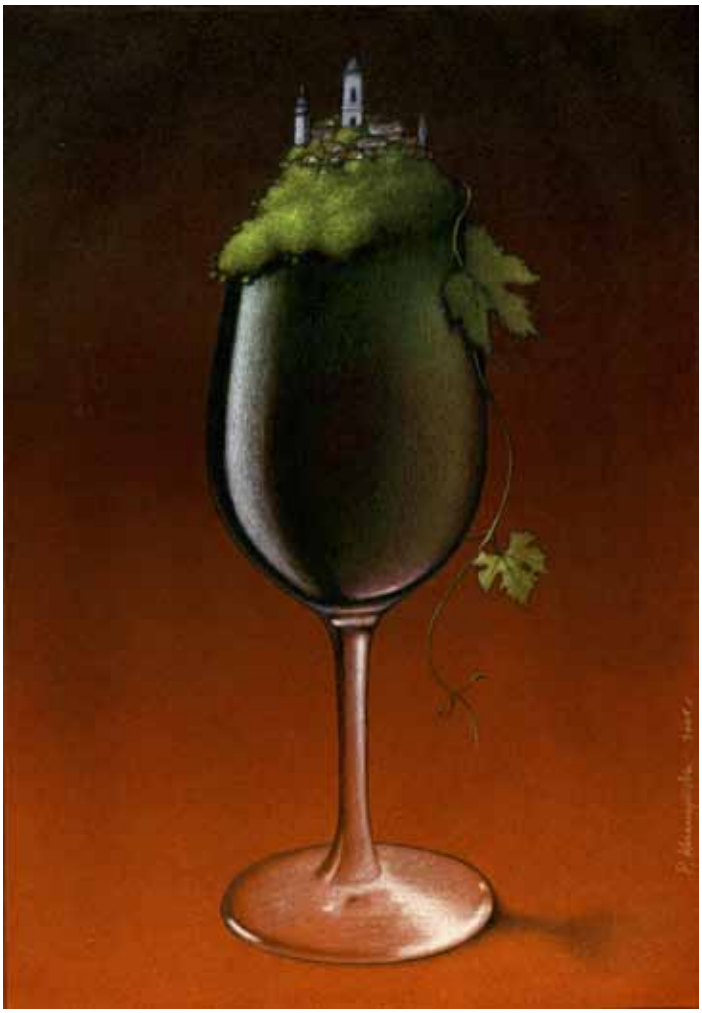

Rysunek Pawła Kuczyńskiego „Winna Zielona Góra..." ze zbiorów prywatnych autora

W kraju nasze miasto powszechnie identyfikowane jest z Zielonogórskim Zagłębiem Kabaretowym, będącym inkubatorem wielu znakomitych grup kabaretowych. Niewiele jednak osób wie, że Winny Gród od kilkudziesięciu już lat kojarzony jest w świecie z konkursem, w którym zmagają się wybitni twórcy zajmujący się rysunkiem satyrycznym.

Historia konkursu zaczęła się w 1985 roku, kiedy to miałem przyjemność kierowania Klubem Międzynarodowej Prasy i Książki w Zielonej Górze. Podczas jednej z burz mózgów w gronie współpracowników narodziła się idea utworzenia Galerii Krzywe Zwierciadło, zajmującej się prezentacją satyry tworzonej przez najsłynniejszych polskich rysowników. W jej ramach gościli u nas (jeżeli nie osobiście, to poprzez swoje prace) tacy twórcy jak: Zbigniew Jujka, Jerzy Flisak, Szymon Kobyliński, Antoni Chodorowski, Tomasz Jura, Julian Bohdanowicz, Henryk Sawka, Grzegorz Szumowski, Witold Mysyrowicz i wielu, wielu innych. Warto nadmienić, że inicjatywie od początku patronował mistrz gatunku i twórca Muzeum Karykatury w Warszawie Eryk Lipiński.

Widząc zainteresowanie zielonogórzan, poszliśmy dalej. Pierwsza edycja Międzynarodowego Otwartego Konkursu na Rysunek Satyryczny odbyła się rok po pierwszej wystawie. W ciągu kolejnych lat (1986-1990) zielonogórski Empik przeprowadził 5 edycji konkursu. Współorganizatorami imprezy byli m.in. Muzeum Karykatury w Warszawie, Ministerstwo Kultury i Sztuki, pisma satyryczne „Szpilki" i „Karuzela" oraz lokalne firmy i przedsiębiorstwa.

Niestety w 1990 r. po mojej rezygnacji z pracy w Empiku historia konkursu się zatrzymała. Pięknie rozkręcona impreza zderzyła się z nową rzeczywistością i moim następcom w świecie odradzającej się gospodarki rynkowej trudno było zawalczyć o kulturę. Ubocznym efektem tych działań, stało się sprowadzenie działalności znakomicie wówczas funkcjonujących Empików tylko do roli handlowej.

Mija czternaście lat. Do idei realizacji konkursów wracam, gdy kieruję Kożuchowskim Ośrodkiem Kultury i Sportu „Zamek". Dopiero w instytucji mającej w swojej nazwie słowo „kultura" udaje mi się reaktywować to sympatyczne współzawodnictwo. Przez cztery lata (2004-2007) odbudowujemy stare relacje i pozyskujemy do rywalizacji wielu nowych satyryków. Wielkim orędownikiem przedsięwzięcia był ówczesny burmistrz tego miasta Józef Fit, który zarażony pomysłem umiał dostrzec w nim znakomity branding dla popularyzacji Kożuchowa. Po jego śmierci nastąpiła zmiana w ratuszu, w konsekwencji czego zostałem zmuszony do odejścia z funkcji dyrektora Zamku w Kożuchowie. Pomimo hucznych zapowiedzi następcom zabrakło chęci i umiejętności do prowadzenia znakomicie już funkcjonującej imprezy. Widząc, że po raz kolejny tak bliskie mi przedsięwzięcie może upaść, wraz z grupą przyjaciół założyłem w Zielonej Górze Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut", w którego statucie konkurs staje się jedną z najważniejszych form działalności. Tym sposobem Otwarty Międzynarodowy Konkursu na Rysunek Satyryczny powrócił do Zielonej Góry.

Od 2008 do 2010 r. członkowie Stowarzyszenia przeprowadzili trzy edycje konkursu, realizując organizacyjnie całe przedsięwzięcie w kilku zaledwie mieszkaniach i na salonach zaprzyjaźnionych instytucji. Od 2011 r. do dziś strategicznym współorganizatorem imprezy jest Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Wraz z nią Debiut przeprowadził siedem kolejnych jej odsłon.

Podczas dotychczasowych dziewiętnastu edycji w konkursie wzięło udział blisko dwa tysiące rysowników z ponad 70 krajów, przysyłając kilka tysięcy prac. Swój udział w zielonogórskiej imprezie zaznaczyli satyrycy ze wszystkich kontynentów (no może oprócz Antarktydy, bo tam jak mówią rysownicy, zamarzają im pisaki), a kilkadziesiąt światowych portali zajmujących się rysunkiem, humorem i dowcipem każdorazowo szczegółowo ją omawiało i o niej informowało. Zarówno Zielona Góra jak i Kożuchów były wielokrotnie

odmieniane i wyszukiwane nie tylko przez uczestników, ale również miłośników tej dziedziny sztuki. A to przecież ogromna promocja dla obu miast naszego regionu.

Obecnie w Polsce jest tylko jeden konkurs satyryczny, większy od zielonogórskiego. To Satyrykon, którego tygodniową imprezą żyje cała Legnica. Dzieje się tak dzięki ogromnemu wsparciu i zaangażowaniu miejskich urzędników i lokalnych sponsorów. Z zazdrością patrzymy na tamtejszy urząd miasta, który wspiera ten konkurs organizacyjnie i finansowo.

Niestety zielonogórski samorząd prawie konkursu nie zauważa, choć w województwie lubuskim żadna impreza nie ma tak dużego zasięgu międzynarodowego.

Wielkimi krokami zbliża się dwudziesta edycja Otwartego Międzynarodowego Konkursu na Rysunek Satyryczny. Być może chociaż na tę jubileuszową imprezę uda się organizatorom pozyskać większe środki finansowe i będą mogli zaprosić do Zielonej Góry laureatów z Brazylii, Izraela, Japonii, Indonezji, Iranu czy choćby z Europy.

Wiara czyni cuda. Wszystko przed nami.

Organizatorzy i laureaci

Organizator:
Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Zielonej Górze

1986
Temat – „Prasa"
Grand Prix – Henryk Cebula (Polska)

1987
Temat – „Książka"
Grand Prix – ex aequo Jerzy Flisak i Eugeniusz Rzeżucha (obaj Polska)

1988
Temat – „Sztuka"
Grand Prix – Zygmunt Pytlik (Polska)

1989
Temat – „Muzyka"
Grand Prix – Eugeniusz Grigoriev (Rosja)

1990
Temat – „Telewizja"
Grand Prix – Marian Matocha Polska)

Organizator:
Kożuchowski Ośrodek Kultury i Sportu „Zamek"

2004
Temat – „Zamek"
Zwycięzca – Yuriy Kosobukin (Ukraina)

2005
Temat – „Radio"
Grand Prix – Bretislav Kovarik (Czechy)

2006
Temat – „Ochrona przed chłodem i upałem"
Zwycięzca – Alessandro Gatto (Włochy)

2007
Temat – „Gazeta"
Grand Prix – Paweł Kuczyński (Polska)

Organizator:
Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut"

2008
Temat – „Nafta i gaz"
Grand Prix – Alessandro Gatto (Włochy)

2009
Temat – „Wino – Winobranie"
Grand Prix – Bretislav Kovarik (Czechy)

2010
Temat – „Muzeum"
Grand Prix – Jerzy Głuszek (Polska)

Organizator:
Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut" i Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze

2011
Temat – „Biblioteka"
Zwycięzca – Witold Mysyrowicz (Polska)

2012
Temat – „Samolot - lotnisko – latanie"
Zwycięzca – Mikhail Zlatkovsky (Rosja)

2013
Temat – „Medi@ społecznościowe"
Grand Prix – Jerzy Głuszek (Polska)

2014
Temat – „Celebryci"
Grand Prix – Jerzy Woźniak (Polska)

2015
Temat – „W delegacji"
Zwycięzca – Maciej Michalski (Polska)

2016
Temat – „Sztuczna inteligencja"
Główna nagroda Gregori Katz (Izrael)

2017
Temat – „Pieniądze"
Zwycięzca – Lothar Otto (Niemcy)

Mirosława Szott

Namalować głos czajki

Kilka miesięcy temu weszłam do zielonogórskiego BWA i oderwałam jeden egzemplarz mapy wystawy. Ten rodzaj kartograficznej performatywności otworzył mnie natychmiast na dobrowolne błądzenie, odkrywanie i szukanie różnych ścieżek. O sile oddziaływania projektu Basi Bańdy „Onomatopeje" – bo o nim mowa – może chyba świadczyć to, że do dziś nie opuszczają mnie pytania: jak obraz może naśladować dźwięk „ihaha" lub „gul-gul"? Na ile kolory i ruchy pędzla oddają wybuchowość, syczenie głosek lub takie właściwości brzmieniowe jak akcent lub intonacja? Autorka cyklu malarskiego stawia pomost między językiem a malarstwem i proponuje inspirującą podróż na dźwiękowo-barwne pogranicze sztuk.

Sporo czasu czekałam aż jakiś zielonogórski językoznawca (lub kognitywista) opisze swoje wrażenia po obejrzeniu wystawy B. Bańdy i przeanalizuje związek między dźwiękiem, słowem i obrazem. Ale skoro nic takiego nie powstało, sama – bez intuicji lingwistycznej – podejmę się opowiedzenia nie tyle o wystawie, co o wyjątkowym katalogu, który towarzyszył wydarzeniu.

B. Bańda (ur. 1980 r.) jest – jak przypuszczam – najbardziej rozpoznawalną zielonogórską artystką młodego pokolenia oraz docenianą malarką na polskich i zagranicznych targach sztuki. Ukończyła malarstwo na Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu (dyplom w pracowni prof. Jarosława Kozłowskiego). Obecnie pracuje na Wydziale Artystycznym Uniwersytetu Zielonogórskiego, a jej projekty są już na stałe wpisane w krajobraz miejski – jest ona autorką np. rzeźby kruka w parku Tysiąclecia, współautorką instalacji przed BWA.

Otwarcie wystawy „Onomatopeje" odbyło się w maju 2016 r. w zielonogórskiej galerii BWA. Malarka zainspirowała się słownikiem – książką, która dla wielu osób może wydawać się nietwórcza i w pewnym sensie czarno-biała, zero-jedynkowa, a przez to apodyktyczna. Ale może nie mylił się Wystan Hugh Auden, wskazując właśnie słownik jako jedyną książkę, którą zabrałby na bezludną wyspę, ponieważ zachowuje całkowitą bierność wobec odbiorcy i daje się czytać na niekończącą się liczbę sposobów. B. Bańda wzięła na warsztat słownik nietypowy – „Słownik onomatopei czyli wyrazów dźwięko- i ruchonaśladowczych", którego autorem jest Mirosław Bańko. Zmieniła perspektywę odbioru, przestała traktować go czysto pragmatycznie i przypisała mu inne funkcje. To okazało się punktem wyjścia do stworzenia jeszcze innej (mimetycznej?) formy. Interdyscyplinarne połączenie dało niesamowity, synestezyjny efekt. Ciekawi mnie, w jaki sposób można by zestawić te prace z nagranymi onomatopeicznymi dźwiękami. Ale to pomysł na inną wystawę.

Basia Bańda jest najbardziej rozpoznawalną zielonogórską artystką młodego pokolenia oraz docenianą malarką na polskich i zagranicznych targach sztuki

Greckie onomatopoiía pochodzi od wyrazów onoma (imię, nazwa) i poieō (tworzę) – znaczy więc tworzenie nazw. Najpierw mamy zatem rzecz, a później nazwę. Choć nawet to nie jest pewne. Już w starożytności toczyły się dyskusje o symbolice dźwięków. Platon przedstawił w „Kratylosie" spór o to, czy nazwy zgodne są z naturą rzeczy czy raczej powstają na mocy arbitralnych decyzji. Nie są to sprawy rozstrzygalne – tym lepiej dla sztuki. Tworzenie onomatopei w wykonaniu B. Bańdy to jakby proces odwrotny – nadawanie fizycznej formy zapisom dźwięków, więc kreowanie rzeczy na podstawie nazw.

Jako wprowadzenia w świat stworzeń B. Bańdy użyto fragmentów tekstów M. Bańki. Nawet zbieżność tych nazwisk i ich bliskie sąsiedztwo w jakimkolwiek indeksie wydaje się nieprzypadkowa, dźwiękonaśladowcza. Czytamy więc wstęp wybitnego językoznawcy, który naświetla niejednoznaczny status onomatopei, sygnalizuje niektóre wątpliwości (np. czy kogut pieje „po polsku"), a jego słowa świetnie korespondują z projektem B. Bańdy. Jeden z rozdziałów słownika M. Bańki nosi nazwę „Jak można malować dźwiękiem". Językoznawca wskazuje na imitacyjne walory głosu ludzkiego (malowanie dźwiękiem) i przywołuje np. kategorię barwy. Zielonogórska malarka odczytała to jako zaproszenie do wspólnego onomatopeicznego dzieła. Nadała w ten sposób dźwiękom wymiar znaków ikonicznych (dosłownie oraz w rozumieniu semiotyki Peirce'a). Na marginesie dodam, że zaprezentowany przez B. Bańdę zestaw akwarel z ekoliną mógłby być także pomocą arteterapeutyczną w pracy z ludźmi głuchoniemymi i niedosłyszącymi. Może właśnie kolor jest rozwiązaniem problemów z dźwiękiem?

Wojciech Kozłowski zauważa, że cykl malarski B. Bańdy wyrasta z przeglądu obsesji, lęków, intuicji i z jednej strony przeraża hybrydalnymi stworzeniami, fragmentarycznością przedstawianego świata, a z drugiej – uwodzi niewinnością uwolnionej wyobraźni. Jak trafnie pisze Stach Szabłowski: „sztuką Bańdy rządzi zasada introwersji". Dlatego właśnie te kolorowe plamy mieszczą w sobie tak wiele emocji i napięć. Jeśli odnajdziemy u B. Bańdy człowieka, to będzie on mały i nieistotny (bo nie on jest tu podstawową figurą), co określa jej świat malarski jako nieantropocentryczny (poprzednie projekty były nierzadko cielesne, seksualne). Argumentem przemawiającym za tym kierunkiem poszukiwań jest najnowsza wystawa B. Bańdy i Ryszarda Grzyba „Zwierzęta", która została zaprezentowana w WizyTUjącej Galerii w Warszawie.

Wracam do „Onomatopei". Przeglądam każdą z nich kilkakrotnie, odkrywam niezauważone szczegóły i odgaduję dźwięki. Czytam słownikowe, chłodne opisy. W połączeniu z pracami malarskimi wydają mi się dużo bardziej poetyckie niż większość tomików wydanych w Zielonej Górze w poprzednim roku. To jest jak ikonograficzna gra. Malarska membrana. Najbardziej lubię głos czajki.

Alicja Błażyńska

My się po prostu lubimy

Od dwudziestu już lat działa na terenie naszego miasta charytatywno-towarzyski klub będący członkiem światowej organizacji Kiwanis International, utworzonej w 1915 roku w USA.

O ile określenie „international" nie jest nam obce, to już przy wyrazie Kiwanis pojawiają się pytania. Jak się okazuje, ma ono indiańskie korzenie i pochodzi ze zwrotu „Nunc Keewanis" oznaczającego „budujemy", w szerszym sensie „budujemy – tworzymy – działamy razem". Intencją założycieli organizacji było, aby każdy jej członek nawiązując do powyższego motta wykorzystywał wszystkie swoje talenty, starając się pomóc potrzebującym. I tak się dzieje już od ponad 100 lat. Światowy Kiwanis ma w swoich szeregach ponad 600 tysięcy wolontariuszy i koncentruje aktywność na pomaganiu dzieciom. Dostarcza żywność, reaguje w momencie klęsk żywiołowych, zapewniając pomoc humanitarną, realizuje również zamierzenia mające zasięg ogólnoświatowy, jak choćby akcję wyeliminowania niedoboru jodu czy ostatnie, zakończone sukcesem działania na rzecz likwidacji choroby tężca okołoporodowego zbierającego okrutne żniwo w Afryce i Azji. Organizacja działa też lokalnie za pośrednictwem dystryktów krajowych.

Do Polski Kiwanis trafił dopiero po zmianach ustrojowych pod koniec XX wieku. Pierwszy klub powstał na Pomorzu w 1991 r., a sześć lat później idea zawitała do Zielonej Góry. Stało się to za sprawą jednej z najważniejszych postaci tego ruchu, znakomitego malarza Władysława Jackiewicza z Gdańska, który zaraził potrzebą pomagania dzieciom swoją koleżankę Agatę Buchalik-Drzyzgę. Skupiona wokół niej grupa przyjaciół i sympatyków zainicjowała działalność organizacji na nieformalnym spotkaniu w zielonogórskim BWA. Wśród założycieli znalazły się znane postacie świata kultury, sztuki, nauki. Z pierwszego składu pozostały do dziś tylko trzy osoby.

W 2006 roku Klub przekazał kilka komputerów uczestnikom zajęć w świetlicy środowiskowej w Słonem, w gminie Świdnica

Niemal od początku większość działań klubowych była adresowana do dzieci mieszkających w Zielonej Górze i w podzielonogórskiej gminie Świdnica. Opieką zostały objęte świetlice socjoterapeutyczne w Letnicy, Słonem, Wilkanowie i Świdnicy, a głównym celem stało się dożywianie dzieci z ubogich rodzin. W pierwszych latach możliwe to było dzięki dotacjom otrzymywanym, za pośrednictwem Kiwanis Polska, z Kraft Foods. Członkinie stowarzyszenia starały się aktywnie pozyskiwać sponsorów i poszukiwać grantów.

Coroczną regułą (aż do dziś) stało się obdarowywanie najmłodszych z okazji Bożego Narodzenia i Dnia Dziecka. Organizowane wówczas spotkania często połączone były z aktywnością samych dzieci. Maluchy za otrzymane słodycze, zabawki, nierzadko odzież czy obuwie, rewanżowały się, prezentując swoje osiągnięcia – przedstawienia jasełkowe, minispektakle teatralne, pokazy taneczne.

Wspomniana wyżej koncepcja dzielenia się swoimi talentami została dosłownie wprowadzona w życie. W latach 1998-2001 przedstawicielki Klubu: malarka i pedagog prowadziły zajęcia plastyczno-pedagogiczne, stomatolog zajęła się uzębieniem najmłodszych, a germanistka nauczała języka niemieckiego.

Jednym z najbardziej chwytających za serce działań realizowanych przez zielonogórski Klub jest akcja Laleczka (Kiwanis Doll). Zabawkę, przypominającą bardziej fantom niż bajkowe maskotki, jakie widujemy w sklepach, otrzymuje każde chore dziecko zaraz po przyjściu do szpitala. Z jednej strony pełni ona tradycyjną rolę przytulanki (dziecko ma nowego przyjaciela w obcej przestrzeni szpitalnej), z drugiej jest typowym narzędziem terapeutycznym. Przy pomocy tego instrumentu przygotowuje się małego pacjenta do pobytu w szpitalu i oswaja się go z procedurami leczenia. Projekt prowadzony jest od 2002 r. we współpracy z oddziałem dziecięcym Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Zielonej Górze. – Trudno dziś policzyć, ile było tych lalek dokładnie – mówi Lidia Kurzawa, będąca koordynatorką zadania – ale według pobieżnych zapisków w moim kajeciku, grubo ponad tysiąc. Członkinie Klubu czynią też starania mające na celu uzyskanie pomocy finansowej dla oddziału. M.in. przekazywały swoje prace plastyczne (obrazy, grafiki, rękodzieło artystyczne) na doroczne aukcje niegdyś odbywające się w Filharmonii Zielonogórskiej i brały czynny udział w zakupach dzieł, z których dochód przeznaczony był dla szpitala.

Wiele serca klubowiczki wkładają w pracę edukacyjną, a jednym z jej przykładów jest projekt Kulturtag. Kiedy w 2006 r. podpisana została umowa o współpracy z bliźniaczym

stowarzyszeniem we Frankfurcie nad Odrą, nikt nie spodziewał się, że wspólne polsko-niemieckie spotkania staną się sztandarową formą działalności Klubu. Na przestrzeni 11 lat odbyło się ponad 20 imprez sprzyjających wzajemnemu poznaniu, umacnianiu przyjaźni, pogłębianiu wiedzy o społeczeństwie, jego języku, kulturze i historii. Inicjatorką tych poczynań była Barbara Krzeszewska-Zmyślony, która będąc prezydentem Klubu w latach 2004-2005 nawiązała pierwsze kontakty z Niemcami i koordynuje je do dziś.

Ciekawym obyczajem panującym w Kiwanisie jest krótka kadencja osoby zarządzającej Klubem. Prezydent panuje tu rok i w tym okresie stara się kontynuować rozpoczęte akcje, ale również proponuje własne inicjatywy. Dzięki temu wachlarz aktywności Klubu jest bardzo szeroki i niełatwo się nim znudzić. Osoby dzierżące ster to z reguły mocne osobowości, które znalazły już spełnienie w pracy zawodowej i rodzinnej, a teraz realizują społeczną stronę swojej natury. Te zielonogórskie indywidualności zostały dostrzeżone na forum krajowym. Anna Ciosk w kadencji 2007-2008, Bogumiła Burda w latach 2012–2013 i obecnie 2017–2018, kierowały polskim Kiwanisem.

Pisząc o działalności charytatywnej, nie można pominąć funkcji towarzyskiej stowarzyszenia. Ta jest równie ważna dla jego członkiń. Do Klubu należą osoby, które cenią i szanują się wzajemnie i dlatego decyzja o wprowadzeniu nowego członka musi być jednomyślna. Panie spotykają się raz w miesiącu i omawiają nie tylko kwestie bieżącej działalności, ale pamiętają o swoich świętach, czczą sukcesy koleżanek i wspierają się wzajemnie. Jak mówi Anna Jankowska, jedna z pierwszych zielonogórskich Kiwanisek: – My się po prostu lubimy. Pięknym tego przykładem jest pielęgnowanie pamięci o osobach, które odeszły. Kiedy przed czterema laty zmarła założycielka Klubu, postanowiły ufundować Stypendium Artystyczne im. Agaty Buchalik-Drzyzgi. Jako że w kasie nie było wolnych funduszy, zorganizowały raut wspominkowy (powtarzany w kolejnych latach) połączony z loterią. Uzyskane pieniądze przekazane zostały stypendystkom – Marcie Stepek (2015 i 2016) oraz Martynie Wojdat (2017).

Klubowi przez lata sekundowała znana zielonogórska dziennikarka Eugenia Pawłowska, opisująca często w swoich felietonach spotkania z kiwaniskami. Za tę działalność wyróżniona została tytułem honorowego członka zielonogórskiego Klubu Kiwanis. Podobne miano otrzymał Eckehardt Gärtner, od lat wspierający finansowo poczynania Klubu.

Przez minione dwadzieścia lat ludzie zgromadzeni wokół tej organizacji zrealizowali dużo pięknych akcji niosących wiele dobra najmłodszym członkom naszego społeczeństwa. Trudno w tym krótkim tekście przedstawić je wszystkie oraz wynotować wzruszenia i uśmiechy, jakie pojawiały się na twarzach klubowiczek, gdy mogły sprawić radość obdarowywanym dzieciom.

Od redakcji
Autorka jest członkinią Klubu Kiwanis Zielona Góra Adsum od 2004 r.

Baletnica w mieście

W dniach od 21 czerwca – 27 sierpnia br. w Muzeum Ziemi Lubuskiej odbyła się wystawa 15 wielkoformatowych fotogramów. Ich bohaterką była młodziutka baletnica, która na tle zielonogórskich pejzaży zaprezentowała piękno tańca klasycznego. Zdjęcia wykonał artysta fotografik Paweł Janczaruk, który prawami autorskimi podzielił się z uwiecznioną na zdjęciach Anną Szafran.

Alina Polak-Woźniak

Grünberski uniwersytet ludowy

Uniwersytety ludowe swoimi początkami sięgają XIX wieku. Ich ojczyzną jest Dania.

W początkach XIX w. kraj ten, podobnie jak cała Europa, zafascynowany był kierunkiem romantycznym w poezji, malarstwie i muzyce. Ideologiem i czołowym reprezentantem ruchu UL był pastor i pedagog Mikołaj Fryderyk Seweryn Grundtvig (1783-1872). Odnosił się on z niechęcią do klasycznej szkoły, raził go stosowany tam encyklopedyzm i intelektualizm.

W Niemczech znaczącą rolę UL zaczął odgrywać dopiero w związku z rewolucją i proklamacją republiki weimarskiej w Berlinie 9 listopada 1918 roku. W związku z powrotem żołnierzy z frontu dążenie do nauki i oświaty wybuchło z gwałtowną siłą. W 1918 r. założono około 12 uniwersytetów ludowych, jednak prawdziwy ich wysyp nastąpił rok później. Również jesieni 1918 r. sięgają początki grünberskiego UL. Powołano go, by wyznaczyć nowe formy kształcenia, zasypać przepaść między dobrze wykształconymi, a tymi bez wykształcenia, by „złagodzić różnice klasowe". Za wzór wzięto Volkshochschule, która działała już w Görlitz. Stworzono specjalną komisję roboczą, na której czele stanął nadburmistrz dr Wilhelm von Gayl, ponadto w jej skład mieli wchodzić landrat, kierownik VHS, trzech członków, w tym jeden koniecznie z Wydziału Powiatowego. Wraz z burmistrzem tutejszą placówkę edukacyjną zakładali: dyrektor liceum dr Ernst Hartmann (kierownik oddziału żeńskiego VHS), profesor gimnazjalny Teichmann (pierwszy kierownik oddziału męskiego) oraz dyrektor gimnazjum realnego dr Eduard Edert, który przejął zwierzchnictwo nad oddziałem męskim po swoim powrocie z frontu pierwszej wojny światowej. W pracach naukowych przybliżających postać dr. Martina Klosego pojawia się błędna informacja, że to on był założycielem grünberskiej VHS, jednak formalnym zwierzchnikiem tej organizacji został on dopiero 14 września 1920 r., a funkcję swą sprawował co najmniej do 1926 r.

Pierwsze kursy prowadzone były przez nadburmistrza Gayla: język i literatura niemiecka, historia oraz Bürgerkunde – nauki obywatelskie, podobne do wykładanej dziś w szkołach wiedzy o społeczeństwie. Liczba uczestników wahała się między 10 a 15. Co 2-4 tygodnie odbywał się też pojedynczy wykład na wybrany temat, m.in. granice postrzegania zmysłowego, darwinizm, kobiety w średniowieczu, niemieckie pieśni ludowe.

Jeśli chodzi o finansowanie działalności placówki, to miasto dawało dotację w wysokości 2/3, zaś powiat 1/3 łącznej sumy. Koszty funkcjonowania i honoraria wykładowców były także pokrywane z czesnego wnoszonego przez uczęszczających na kursy, a także z dobrowolnych datków. Jeśli ktoś wpłacił 100 marek, otrzymywał miano Mecenasa, a jeśli podarował 1000 marek – Honorowego Mecenasa Grünberger Volkshochschule.

Wkrótce zaczęli zgłaszać się pierwsi chętni „profesorowie", przekazując swoje propozycje kursów. Neumann, adwokat i notariusz oraz dr prawa Woldemar Piltz chcieli poprowadzić zajęcia na temat nowych regulacji prawnych w ustawodawstwie niemieckim. Dr Hugo Schmidt zaproponował prelekcje o historii Grünbergu, ale także i o szkodnikach drzew owocowych (choć ostatecznie ten kurs nie odbył się z powodu zbyt małej ilości zainteresowanych), lekarz powiatowy o powstawaniu, zwalczaniu chorób zakaźnych i zapobieganiu im. Nauczyciel pomocniczy dr Hans Jung przedstawił pomysł ośmiogodzinnego cyklu wykładów na temat epoki lodowcowej i jej śladów w północnych Niemczech, a Oberlehrer dr Paul Lorenz chciał opowiadać słuchaczom o ruchu pacyfistycznym. Oberschüllehler Rudolph Wachter podał tematy wykładów dotyczących chmur i opadów, za rektor Gustav Schnelle chciał przedstawić pojęcie państwa (jego genezy i istoty, zadań, nowoczesnych form państwowości, relacji państwo a społeczeństwo). Inż. Moritz Opel podjął się omówienia kwestii zaopatrzenia Grünbergu w wodę oraz kanalizacji miejskiej, a sekretarz sądowy Paul Wandrach przedstawienia zagadnień wchodzących w skład Bürgerkunde – ustawodawstwa mieszczańskiego i socjalnego oraz prawa karnego i cywilnego. Nie zabrakło też lekcji języka angielskiego prowadzonych przez profesora Teichmanna.

W 1920 r. M. Klose wysłał do duchownych z okolicznych parafii pismo z prośbą, by rozeznali się wśród swoich wiernych, czy widzą oni potrzebę utworzenia VHS w ich miejscowościach i czy są wśród nich osoby, które podejmą się prowadzenia kursów. Odpowiedzi były zróżnicowane. Duszpasterz Hocher z Otynia był bardzo przychylny temu pomysłowi. Także w Janach zgłoszono chęć założenia VHS z powodu niedostatecznego wykształcenia rolniczego mieszkańców wsi. Nauczyciele z Przytoku i Starego Kisielina stwierdzili, iż zainteresowani mogą uczęszczać na odczyty i prelekcje w grünberskiej Landwirtschaftler Verein. Mieszkańcy Świdnicy nie wierzyli w to, żeby udało się w ich miejscowości utworzyć VHS. Najbardziej szczery w swojej odpowiedzi był katolicki ksiądz z Klenicy, który wyznał, że nie ma potrzeby prowadzenia kursów dokształcających dla miejscowych rolników, gdyż wiosną, latem i jesienią mają oni dostatecznie dużo pracy przez cały dzień, zaś zimą z powodu złej pogody siedzą w izbach, do wyjścia na zewnątrz może ich skusić tylko potańcówka.

Główną metodą nauczania stosowaną w grünberskiej VHS był wykład, jednak nauczyciele starali się uatrakcyjniać zajęcia inicjowaniem i moderowaniem dyskusji na omawiany temat, demonstracjami praktycznymi, muzyką lub wyświetlanymi w trakcie prelekcji diapozytywami. Do nauki języków używano podręczników dostosowanych do poziomu wiedzy uczniów.

Grünberska VHS okazała się uniwersalną uczelnią służącą zarówno rozwojowi jednostki, jak i wspólnoty. Dzięki szerokiemu wachlarzowi proponowanych kursów przyciągnęła liczną rzeszę słuchaczy, stwarzając im wielkie szanse na indywidualny rozwój i zdobycie wykształcenia oraz zapobiegając m.in. marginalizacji społecznej osób ze środowisk słabiej wówczas wykształconych, np. robotników. Przyczyniła się również do szerzenia wychowania obywatelskiego oraz rozbudzenia świadomości międzykulturowej. Dzięki proponowanym inicjatywom i organizowanym przez siebie wydarzeniom o charakterze artystycznym prowadziła szeroko rozumianą animację społeczno-kulturalną mieszkańców Winnego Grodu.

Agnieszka Szczap
Katarzyna Turonek-Ostrowska

Śladami kobiet

18 sierpnia 2017 r. Wojewódzki Szpital Kliniczny im. Karola Marcinkowskiego został przekształcony w Szpital Uniwersytecki. Z tej okazji warto przypomnieć jego początki i szczególną rolę jaką odegrały w niej kobiety.

Z inicjatywy Stowarzyszenia Kobiet w 1868 roku sprowadzono do Zielonogórskiego Domu Opieki dwie siostry z ewangelickiego Domu Diakonalnego „Betania" (Diakonissenhause „Bethanien") w Krośnicach (niem. Kraschnitz) koło Milicza. Diakoniski zostały powołane do życia w 1836 r. w nadreńskim miasteczku Kaiserwerth przez niemieckiego pastora Theodora Flidnera. Idea diakonii nawiązywała do czasów apostolskich, a same diakoniski funkcjonowały na podobnej zasadzie jak średniowieczne beginki. Były to kobiety niezamężne lub wdowy, skupione przy lokalnych kościołach, jednak nie składały one ślubów zakonnych. Opiekowały się chorymi i sierotami, prowadziły szpitale, domy dla chorych umysłowo, przedszkola oraz szkoły. Zajmowały się szeroko rozumianą działalnością społeczną. Ponadto pełniły swoistą funkcję, coś na kształt urzędu ds. kobiet w Kościele. Przedkładały prośby i sprawy kobiet biskupowi, a także pełniły posługi przy chrzcie dziewczynek oraz zanosiły Eucharystię chorym kobietom.

W 1901 r. w Zielonej Górze (niem. Grünbergu) powołano Zgromadzenie Sióstr „Bethesda", na czele którego stanęła diakonisa Aurelia Aberger, którą kilka lat później zastąpiła Hedwig von Below. Do zielonogórskich diakonisek dołączyła w 1902 r. Anna Borchers. Ta niezwykła kobieta urodziła się 11 czerwca 1870 r. w Königshütte (pol. Chorzów). W wyniku ciężkiej choroby jako piętnastoletnia dziewczynka straciła wzrok. Wcześnie straciła rodziców i na nią, jako najstarszą w wielodzietnej rodzinie, spadł obowiązek opiekowania się młodszym rodzeństwem. Mimo ciężkich warunków, nie poddawała się. Jej marzeniem zawsze było zostać nauczycielką i konsekwentnie realizowała swoje postanowienie. W 1886 r. rozpoczęła naukę we wrocławskiej szkole dla niewidomych. Biegle opanowała system pisma niewidomych Braille'a, także znakomite wyniki osiągała w pracach ręcznych. Jej nieprzeciętne zdolności pedagogiczne nie pozostały niezauważone. W ostatnim roku nauki powierzono jej w macierzystej szkole stanowisko nauczyciela pomocniczego prac ręcznych. W 1890 r. A. Borchers została przyjęta do wrocławskiego Seminarium Nauczycielskiego doktora Rislego. Trzy lata później podjęła pracę w zawodzie nauczycielki u diakonis w Krośnicach, a stamtąd udała się do zgromadzenia w Zielonej Górze.

Diakoniski wybudowały w 1904 r. Dom Zakonny „Bethesda" wraz z kościołem i domem parafialnym. Dzięki dotacji miasta w 1908 r. wybudowany został w kompleksie zakonnym szpital na 50 łóżek, który przejął funkcje szpitala miejskiego. Dom zakonny liczył wówczas 220 sióstr, z których 208 pracowało w 52 miejscowościach, w 93 stacjach opieki. Pomiędzy zakonem a władzami miejskimi została zawarta umowa, na mocy której zakon przyjmował pacjentów ubezpieczonych w kasach chorych oraz ubogich z Zielonej Góry i okolic na koszt miasta. Szpital rozwijał się bardzo prężnie i w 1910 r. przyjął 772 chorych. Obok szpitala, w kompleksie zakonnym, znajdowało się przedszkole, sierociniec, szkoła gospodarstwa domowego dla dziewcząt i seminarium nauczycielskie dla wychowawczyń przedszkoli. A. Borchers powierzono kierownictwo pedagogiczne nad placówką.

W pracy w seminarium nauczycielskim A. Borchers poznała metodę nauczania poprzez zabawę, której

Anna Borchers (1870-1918)

twórcą był Friedrich Wilhelm Fröbl. W czasie gdy dzieci były wychowywane w sposób surowy i traktowane niemal jak osoby dorosłe, była to metoda niezwykle nowatorska. A. Borches uważała, że gry i zabawy stanowią doskonały środek stymulujący aktywność twórczą dziecka, pobudzają i rozwijają jednocześnie wszystkie sfery osobowości młodego człowieka. Poza tym twierdziła, że powstający zawód przedszkolanki może być doskonałym źródłem utrzymania oraz pełnym satysfakcji sposobem na aktywne życie kobiet. A. Borchers napisała kilka podręczników, które zyskały duże uznanie i stały się lekturą obowiązkową w systemie wychowania przedszkolnego na terenie całych Niemiec: „Prace ręczne w procesie wychowawczym wieku przedszkolnego", „Praktyczny przewodnik metodyczny pracy przedszkolnej". Zmarła niespodziewanie 6 października w 1918 r.

Upór i ciężka praca Anny Borches oraz diakonisek przyczyniły się do poprawy życia zielonogórzan, miasto zyskało szpital oraz nowoczesne placówki edukacyjne.

Patron szpitala

Karol Marcinkowski (1800-1846), urodził się w Poznaniu. Medycynę studiował w Berlinie, gdzie należał do tajnej organizacji Polonia. Po studiach jako doktor medycyny wrócił do Poznania, gdzie pracował w szpitalu miejskim. Jako podporucznik brał udział w powstaniu listopadowym. Następnie przebywał w Anglii i Francji, gdzie był autorytetem w dziedzinie walki z cholerą. W 1937 r. wrócił do Poznania. Prowadził tu praktykę lekarską, ubogich lecząc za darmo. Jest patronem m.in. Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, szpitala w Gostyniu i Inowrocławiu, ulic i placów w Poznaniu, Rogoźnie i Wrocławiu.

Grzegorz Biszczanik

Jany to dawne Janny

Historia zielonogórskich Jan sięga XVII wieku. Tereny na których dzisiaj znajduje się ta dzielnica były łąkami należącymi do majątku Starego Kisielina.

W związku z rozwojem transportu zboża doliną Odry, a także zwiększeniem popytu na płody rolne właściciel folwarków w Przytoku (Prittag), Starym Kisielinie (Polnisch Kessel) i Nowym Kisielinie (Deutsch Kessel), Johann Georg von Stentsch, w najwyższym punkcie doliny postanowił w 1612 roku zlokalizować folwark wraz z zabudowaniami chłopskimi. Nazwał go Janny i był on częścią majątku w Starym Kisielinie.

Folwark ze względu na otaczające go żyzne gleby i łąki przynoszące ogromne plony ciągle się rozrastał i powoli stawał się wsią folwarczną. Do Jann zaczęli coraz chętniej zjeżdżać chłopi w poszukiwaniu pracy. Wieś zaczęła być słynna z komorników, czyli chłopów nie posiadających własnej ziemi i zabudowań, którzy mieszkali u innych chłopów, a utrzymywali się z pracy w folwarku.

W trakcie wojny trzydziestoletniej w pobliżu Jann, wzdłuż Odry, biegła granica między Księstwem Głogowskim a Nową Marchią. Podczas wojny Janny były kilkukrotnie rabowane, niszczone oraz dokonywano licznych gwałtów. W 1631 r. zniszczeń dokonały przebywające w tym rejonie wojska szwedzkie.

Na początku XVIII w. Janny były wielokrotnie zalewane przez Odrę, która niszczyła plony i część zabudowań. Do największych spustoszeń doszło w 1729 r., kiedy to część Jann i otaczające ją pola uprawne zostały zalane podczas wielkiego wypływu Odry.

W czasie pierwszej wojny śląskiej w 1740 r. wojska pruskie pokonały armię austriacką, zajmując Śląsk, w wyniku czego Janny stały się częścią państwa pruskiego. W trakcie wojny siedmioletniej Janny wielokrotnie były grabione i niszczone przez stacjonujące niedaleko wsi wojska rosyjskie, dowodzone przez generała Zachara Czernyszewa.

W latach 1744-1778 w Jannach funkcjonowała gmina ewangelicka przeniesiona z Lasu Cigacickiego. Na nabożeństwa przyjeżdżali wierni z Przytoku i Starego Kisielina. Gmina przetrwała 34 lata. Następnie przeniesiono ją do nowo wybudowanego zboru w Przytoku.

W 1792 r. Janny stają się własnością rodziny von Stoschów. Jest to okres znaczących zmian we wsi. Karl Ludwig Hans von Stosch podjął decyzję o wybudowaniu obszernej stodoły, jednocześnie znosząc zobowiązania pańszczyźniane. W tym czasie został założony nowy folwark zlokalizowany niedaleko Odry. Został nazwany Stoschenhof (dziś Stożne). Wybrukowano także drogę do Starego Kisielina.

W XIX w. w Jannach prowadzone były duże inwestycje, skutkujące położeniem drenaży odwadniających okalające wieś podmokłe grunty. Do Jann zaczęli napływać polscy robotnicy sezonowi, którzy z biegiem czasu zaczęli się tu osiedlać i przyjmować zwyczaje miejscowej ludności. W 1921 r. do wsi doprowadzono elektryczność, co pozwoliło na unowocześnienie produkcji rolnej. Właściciel Jan Feliks Georg von Stosch kupił nowoczesne maszyny do słomy, także powstała stolarnia z nowymi maszynami do obróbki drewna.

W 1927 r. we wsi mieszkało ponad 250 mieszkańców. Działała tu szkoła, stolarnia, kuźnia, piekarnia, kilkadziesiąt gospodarstw rolnych, gospoda i restauracja z salą widowiskową. Janny były często pokazywane na ilustrowanych kartach pocztowych. Folwark zajmował 415 ha, ponad połowę z tego stanowiła ziemia orna. Janny się rozwijały. Inwestycje we wsi trwały aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Pocztówka przedstawiająca gospodę w Jannach na początku XX wieku ze zbiorów autora

W związku z szeroko zakrojoną akcję zniemczania słowiańsko brzmiących nazw miejscowości, w 1936 r. nazwa Janny została zmieniona na Fliederthal. Nazwa ta obowiązywała do końca drugiej wojny światowej.

Zbliżająca się wojna spowodowała budowę fortyfikacji obronnych, które były wznoszone na wysokości Jann. Większość mieszkańców utożsamiało się z prowadzoną polityką III Rzeszy i masowo wstępowało w szeregi NSDAP. Konflikt ten przyniósł jednak ogromne straty w miejscowej ludności, która przeważnie ginęła na froncie wschodnim. Kiedy w 1944 r. front zbliżał się do granic III Rzeszy, z Jann uciekło ponad 80 proc. mieszkańców, pozostawiając cały swój dobytek.

Zwiad Armii Czerwonej 29 stycznia 1945 r. zbliżył się do wsi. Został odparty przez wycofujące się z linii Odry wojska niemieckie. Ostateczna ofensywa wojsk sowieckich przyszła od południa i wieś około godz. 13.00 została zajęta atakiem od strony Starego Kisielina. Po wojnie miejscowość otrzymała nazwę Jany i znalazła się w granicach gminy Zawada. W 1954 r. Jany były w gromadzie Zawada. W 1972 r. weszły w skład gminy wiejskiej Zielona Góra, by w 2015 stać się nową dzielnicą Zielonej Góry.

Jerzy Szewczyk

Z fabryki do inspekcji

Z dyplomem Politechniki Łódzkiej w grudniu 1960 r. przyjechałem do Zielonej Góry i podjąłem za podpowiedzią kolegów pracę zawodową w Zaodrzańskich Zakładach Przemysłu Metalowego „Zastal".

Tu miałem otrzymać wyższe niż gdzie indziej wynagrodzenie i szansę rozwoju zawodowego. Nie przypuszczałem wówczas, że spędzę w Zielonej Górze prawie całe swoje życie.

Okazało się, że moja uczelniana specjalność nie za bardzo mogła być wykorzystana, co kłóciło się z moim dyplomem. W sensie organizacyjnym i socjologicznym był to zakład w owym czasie należący do najlepszych w mieście i regionie i to mnie coraz bardziej przekonywało.

Po stażu i egzaminie, który nie wypadł najlepiej, otrzymałem stanowisko technologa, a później na mój wniosek, bo chciałem przejść praktykę produkcyjną, zastępcy kierownika wydziału produkcyjnego W-2.

W ciągu sześciu lat, które przepracowałem w tej firmie, ukończyłem studia podyplomowe związane z organizacją i normowaniem pracy oraz ekonomikę przedsiębiorstw. Podjąłem też zaoczne studia prawnicze, przerwane na drugim roku – ożeniłem się w 1963 r. z Ireną Krzemińską, rodzina powiększyła się i niemożliwe stało się łączenie dalszej nauki z wymogami procesu produkcyjnego. Przy zakładzie funkcjonowała spółdzielnia mieszkaniowa, co pozwoliło w krótkim terminie jak na owe czasy, poprawić warunki bytowania.

Jeszcze z tamtych lat pozostają w mojej pamięci ludzie, którzy wpłynęli na moje dalsze losy. Wspominam Jerzego Prusinowskiego, Zenona Piotrowskiego, Kazimierza Wojciechowskiego, Stanisława Lacha, Zygmunta Zasadę, Aleksandra Kluzę, Ryszarda Dzierżanowskiego, Bolesława Gurgula, Urszulę Bartkowiak, Ryszarda Malentowicza, Jana Różańskiego, Jana Nędzę, Stefana Kowalczyka – że wymienię tylko niektórych. W połowie 1961 r. otrzymałem propozycję pracy w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Kaliszu. Poszedłem do dyrektora naczelnego. Ale gdzie tam! Nie puścił mnie, a składać wypowiedzenie, to było ponad moje ówczesne granice odwagi.

Gdzieś w 1963 r. miałem trochę kłopotów związanych z próbami sztabu wojskowego powołania mnie do pracy w wojsku w charakterze specjalisty. Na moim dyplomie w tytule pracy widniały słowa „Projekt wydziału obróbki cieplnej sprężyn samochodu osobowego". Sugerowało to, że mogę być fachowcem od pojazdów samochodowych. Za pierwszym razem udało mi się wyjaśnić, że moja specjalność to technologia obróbki cieplnej, a nie silniki samochodowe. Za drugim razem, mimo przyznania się, że mam rodzinę za granicą, było gorzej. Uratowała mnie interwencja dyrektora Wacława Lewandowskiego.

Do profilaktyki trzeba i dobrej woli, i wyobraźni fatalisty, współdziałania pracownika z pracodawcą

W 1965 r. następowała stopniowa zmiana asortymentu produkcji. Aparaturę chemiczną zaczęły zastępować lokomotywy spalinowe LS-60. W moim biurze planowo-rozdzielnym musiałem zwiększyć wymagania. Nie dość że wzrosła potrzeba podniesienia poziomu technicznego, to jeszcze nastąpił duży rozwój kooperacji wewnętrznej i zewnętrznej. Z satysfakcją wspominam moich kolegów z planowania i rozliczania produkcji Henryka Perwińskiego, Jerzego Murlewskiego, Wacława Kuźmę, Henryka Kiderysa, Eugeniusza Przygodę, Leszka Muszkietę, Józefa Domina, Jana Wąsińskiego, Eugenię Kańczułę.

Wspomnienia dotyczące pracy ojca pomogły mi na lepszą współpracę z robotnikami produkcyjnymi. Mogłem na nich liczyć, gdy chodziło o wykonanie zadań nie tylko planowanych, ale i dodatkowych wymagających pracy w godzinach nadliczbowych. Dziękuję moim najbliższym współpracownikom Wincentemu Grężickiemu, Bolesławowi Dębickiemu, Bronisławowi Graczowi, Czesławowi Zarzyckiemu, Władysławowi Murszewskiemu, Tedeuszowi Majdrze.

Uznałem po sześciu latach pracy, że nowe możliwości stwarza mi propozycja, jaką otrzymałem od Tadeusza Stanka, wojewódzkiego inspektora pracy. Miałem objąć stanowisko inspektora pracy. Ukończyłem we Wrocławiu specjalne studium inspektorów, zdałem egzamin państwowy. Znalazłem w inspekcji szansę rozwijania szerokich zainteresowań. Bywałem w dużej liczbie zakładów różnych branż, o różnym poziomie technicznym, odmiennym charakterze wymagań obronnych załóg w procesie pracy.

Po ośmiu latach objąłem funkcję okręgowego inspektora pracy. Inspekcja pracy w tamtym czasie znajdowała się w strukturze związków zawodowych. Zajmując się sprawami ochrony pracy, miałem częste kontakty z personelem zarządzającym, służbami bezpieczeństwa i higieny pracy, funkcjonariuszami związkowymi. Stopniowo rozwinąłem współdziałanie z władzami wojewódzkimi, inspekcją sanitarną, ochrony środowiska, medycyną pracy, mediami, prokuraturą, uczelniami i organizacjami społecznymi.

W latach 1975-1999 obejmowaliśmy nadzorem zakłady woj. zielonogórskiego i gorzowskiego oraz przejściowo leszczyńskiego. Po roku 1999, w związku z nowym podziałem administracyjnym, terenem działania stało się województwo lubuskie. Z inspektorami lub samodzielnie zapoznałem się z różnymi problemami, wizytując setki zakładów pracy. Szczególnie trudne stawało się postępowanie odwoławcze od decyzji inspektorów, podniesienie składek ZUS dla zakładów, które pogarszały warunki pracy, spowodowanie, aby wyłączyć z eksploatacji podmioty gospodarcze, nie mogące doprowadzić do dopuszczalnych norm stężeń substancji szkodliwych, egzekwowanie należnych pracownikom wynagrodzeń. Ten ostatni

obowiązek stał się szczególnie ważny po 1990 r.

W 1967 r. inspekcja branżowa była podporządkowana zarządom głównym związków branżowych. Kontakt ze swoimi przełożonymi miała rzecz jasna ograniczony. Rodziło to niejednokrotnie sprzeczne lub nieskoordynowane działania. Bywało też, że obwiniony o łamanie prawa pracy był zaprzyjaźnioną postacią szefa miejscowej organizacji związkowej. Dochodziło do prób wpływania na orzecznictwo karno-administracyjne inspektorów.

Dla wsparcia inspektorów od czasu do czasu pracownicy Wojewódzkiego Inspektoratu Pracy jako jednostki terenowej Głównego Inspektoratu Pracy prowadzili wspólne kontrole, szkolenia, ogląd dokumentacji kontrolnej. Trzeba było przy tym wykazywać się znaczną zręcznością, gdyż próby uterenowienia czy ujednolicenia trybu postępowania mogłyby powodować nerwowe reakcje zarządu głównego związku. Główny Inspektorat występował wtedy jako swego rodzaju rozjemca. Trafiłem do inspekcji pracy, gdy trwała duża praca na rzecz właściwego funkcjonowania zespołów ustalających przyczyny i okoliczności wypadków przy pracy. Przepis w tej sprawie z 1968 r. nie był dobry, angażował przede wszystkim zbyt dużą liczbę osób. Kilkakrotne zmiany normy prawnej doprowadziły dopiero w 1998 r. do ustawienia jej na poziomie bardziej praktycznym. Częściej wówczas przydawało się przebywanie w wielu zakładach, a dokumentacja wypadkowa dostarczała ogromnej wiedzy z zakresu profilaktyki. Do tej profilaktyki trzeba i dobrej woli, i wyobraźni fatalisty, współdziałania pracownika z pracodawcą.

Opracowałem w 1968 r. obszerną analizę kształtowania się wypadków w 30 największych zakładach województwa. Miało w nich miejsce 40 proc. wszystkich zdarzeń regionu. Doprowadziło to później do większego opracowania dotyczącego lat 1965-1970. Ocenę funkcjonowania zespołów wypadkowych, jak to wówczas było w zwyczaju, uwiarygodnialiśmy na posiedzeniach prezydium Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych, a od 1973 r. Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych.

Dzięki posiadanym środkom finansowym w budżecie, instancja międzyzwiązkowa zapisywała na swoim koncie finansowanie przemysłowej służby zdrowia, wypoczynku dzieci i młodzieży. Związki branżowe miały w swojej gestii sanatoria i ośrodki wypoczynkowe. I jednym, i drugim wydawało się, że skutecznie grają rolę obrońców i reprezentantów tzw. mas pracujących. Dużą część energii tych reprezentantów pochłaniały konferencje samorządu robotniczego, konferencje sprawozdawczo-wyborcze, narady i szkolenia aktywu. Kończyły się późno, za późno jak na rezultaty tych zbiórek. Nie licząc, rzecz jasna, pogłębiania znajomości i bólu głowy nazajutrz.

Do znanych działaczy tamtych lat należeli: Wacław Waluk, Paweł Mokrzan, Henryk Gołąbek, Dominika Chudzińska, Tadeusz Włodarski, Zdzisław Drewka, Janina Jeziorkowska, Tadeusz Konieczny, Roman Czuryłowski, Stanisław Gołębiowski, Piotr Kwiecień, Anna Rzepa, Stanisław Jankowski, Henryk Tylzon, Jan Kujawski, że tylko na tych nazwiskach poprzestanę. Wielu innych zasługiwałoby zapewne na monografię „Dobrze i źle o ruchu związkowym woj. zielonogórskiego". Wśród inspektorów wyróżniali się Tadeusz Niewęgłowski, Jan Stępski, Tadeusz Cal, Jerzy Marchewski, Piotr Łaniewski, Janusz Waszkowski, Michał Kaszubski, Ireneusz. Ziółkowski, Maksymilian Chmielewski.

Także działalność w zakresie ochrony pracy poza inspekcją i służbami bhp wspierana była w różnym stopniu przez związki zawodowe, społeczną inspekcję pracy. Znani byli wówczas społeczni inspektorzy, jak: Michał Siwecki, Wiktor Kalinowski, Władysław Lis. Wymyślono i inne formy, jak np. młodzieżowi inspektorzy ochrony, dyżurni bezpieczeństwa pracy, społeczni techniczni inspektorzy, komisje ochrony pracy, społeczne przeglądy warunków pracy. Pomysłodawcy mieli na uwadze szlachetne cele, ale praktycznie część z tych organów była sztucznie ożywiana, a efekty mizerne lub iluzoryczne.

Gdy spoglądam wstecz, mam wrażenie, że czas za mną biegł szybciej, niż zbliżała się przyszłość. Współpracowałem z wieloma ludźmi, miałem wpływ na kształtowanie oblicza instytucji, poziom funkcjonowania współpracowników.

I ja uczyłem się od innych. Szkoda, że moje intelektualne i emocjonalne możliwości nie zawsze zostały wykorzystane właściwie. Dziś powiem: stać mnie było na więcej, już to z mojego powodu, już to z charakteru moich przełożonych. Obiektywnie patrząc, nie powierzano mi zadań zbyt trudnych. Nie byłem też dobrym mówcą, zawsze łatwiej mogłem wyrazić swoje myśli w tekstach pisanych.

Jerzy Szewczyk podczas otwarcia wystawy „Zapraszam na Maltę" i promocji tomików „Między pamięcią i zapomnieniem" w bibliotece Norwida w czerwcu 2017 r. *fot. archiwum autora*

Radosław Domke

Pokonany przez tajemnice w nierównej walce

fot. Łukasz Mikołajczuk

Późną wiosną odszedł od nas
nauczyciel i przyjaciel
Zygmunt Kowalczuk (1963-2017).

W tym pożegnaniu nie zamierzam koncentrować się na jego dorobku naukowym bądź kulturalnym. Nie dowie się z tej stronicy nikt, ile wierszy napisał, jakie książki naukowe. Nie będę też pisał ile lat był księdzem katolickim i dlaczego zrezygnował z pełnienia tej funkcji. Ani gdzie i w jakich latach był nauczycielem religii w lubuskich szkołach średnich. Pragnę za to skupić się na tym, jakim był człowiekiem i zaprezentować go przede wszystkim jako wielkiego humanistę.

Zygmunt był człowiekiem niezwykle oczytanym. Jego lektury obejmowały zarówno poezję, jak i prozę. Oprócz literatury pięknej sięgał również po piśmiennictwo naukowe z dziedziny filozofii, historii, nauk o polityce. Miał tą przewagę nad wieloma swoimi odpowiednikami ze świata nauki i kultury, że dobrze władał kilkoma językami w mowie i piśmie. Często witał się w obcych językach i zagadywał do spotkanej osoby kilka słów. Włoskim posługiwał się biegle, świetnie rosyjskim, a nie obca była mu też komunikacja w niemieckim i francuskim. Angielskiego nigdy nie zgłębił. Byliśmy wiele lat temu na etapie negocjacji, w jakiej formie mógłbym go poduczyć, ale... Nie zapominajmy też o łacinie. Nie mogę powstrzymać się od podzielnia anegdotą z Krakowa z okresu, gdy księża chodzą po kolędzie. Byliśmy wtedy z naszymi młodymi znajomymi w ich mieszkaniu, kiedy do domostwa zapukał ksiądz. Zachowywał się butnie i arogancko, wytargał nawet naszego dwudziestoletniego kolegę za ucho [sic!], ni to po ojcowsku, ni to niczym srogi jezuita karcący swoją owieczkę. Zygmunt nie wytrzymał. Przeszedł z gościem na rozmowę po łacinie, potem widząc, że tamten tylko coś duka, przeszedł na włoski, gdzie również wykazał, jaki jego odpowiednik jest maluczki. Nieproszony misjonarz odszedł z podkulonym ogonem. Honor naszego młodego kolegi został uratowany.

Pasją Zygmunta były podróże, zwłaszcza do słonecznej Italii. Z tego co wiem, był tam przeszło 20 razy. Wypoczynek łączył z bogatym życiem towarzyskim, ale i kwerendami naukowymi, m.in. w bibliotece watykańskiej. Kiedy tylko miał okazję, chwytał wycieczkę last minute i leciał, np. do Tunezji czy Egiptu. Spontanicznie, sam, na miejscu zawsze poznawał przecież nowych ludzi. Odbyłem z nim kilka podróży, przede wszystkim do Krakowa i Poznania, niestety żadnej za granicę.

Był człowiekiem o szeregu kontaktów. Kiedy w 2005 roku zabrał mnie ze sobą do Poznania jeszcze jako studenta, zaprosił mnie na seminarium naukowe profesora Andrzeja Wrzoska, wybitnego polskiego metodologa historii. Miałem wtedy przyjemność poznać Domańską, Wernera, czyli młode pokolenie wybitnych badaczy z pogranicza historii i kultury UAM. Jak przystało na słynne łączenie przez Zygmunta życia naukowego z towarzyskim, seminarium zakończyło się symbolicznym piwem z profesorem w pubie Pod pretekstem na zamku. Zyga, gdyż tak mówili do niego bliscy, mógł się pochwalić szeregiem innych znajomości. Znał wybitnych hierarchów kościelnych (Dyczkowskiego), pisarzy (Grocholę), poetów (Barana, Tischnera), aktorów (Domagarowa). Poznał też kiedyś w Krakowie w barze Vis a Vis Sławomira Mrożka.

Te szerokie kontakty towarzyskie wynikały z niebywałej zdolności Zygmunta do zjednywania sobie ludzi z różnych warstw społecznych i pokoleń. Wystarczyło mu klika minut rozmowy, by oczarować interlokutora erudycją, spojrzeniem, intonacją głosu, szarmanckimi manierami. Być może były to doskonale zastosowane techniki manipulacji, jakich uczy się każdy kandydat na księdza w seminarium, a o których opowiadał mi Zygmunt, a może jednak coś więcej? Legendarną jest już przypowieść, kiedy całkowicie obca osoba pożyczyła mu w Łagowie 20 zł, oczarowana nieznanym kapłanem (tak lubił o sobie mawiać) i poetą, gdyż ponoć tak się najpierw jej przedstawił.

Nie sposób pisać o Zygmuncie, nie wspominając o najukochańszej istocie w jego życiu. Bez wątpienia była nią matka, którą miałem przyjemność poznać podczas odwiedzin w Bieczu. Była pogodną, wiekową panią, której uśmiechu na twarzy nie udało się zmazać ani trudom okupacji, ani dalszym mozołem życia codziennego. Zyga poświęcił jej jeden ze swych wierszy, w którym malowniczo zestawił skojarzenie zapachu kawy w rodzinnej kuchni z jej wspomnieniem. Ta wspaniała osoba odeszła kilka lat przed swoim synem.

Niestety Zygę przez całe dorosłe życie ścigały, jak nas wszystkich, jego prywatne demony. Były związane z przeszłością, z jego melancholijną naturą oraz zapewne z wieloma mrocznymi tajemnicami, które nosił ze sobą niczym ciężki bagaż. Pod koniec życia okazały się jednak zbyt silne i dał się im pokonać w nierównej walce.

Zygmunt był moim przyjacielem i nauczycielem zarazem, na etapie studiów nawet pewnego rodzaju mentorem. Dlatego pozwolę sobie napisać na koniec w jego ukochanym języku. Addio, amico mio.

Cmentarz Zielonokrzyżowy między dzisiejszymi ul. Bolesława Chrobrego i Wazów powstał w pierwszej połowie XIX wieku. Istniał do lat 50. XX w. Teraz jest to park Tysiąclecia. Zachował się grobowiec Georga Beuchelta (1852-1913), właściciela fabryki mostów i konstrukcji stalowych, poprzedniczki Zastalu

Odnowiony w 1993 r. grób Paula Petrasa (1860-1941), poety i piewcy ziemi zielonogórskiej na cmentarzu Chynowskim

Ul. Drzonków – Cisowa: pomnik na pamiątkę niemieckim mieszkańcom Drzonkowa

Została pamięć o dawnych mieszkańcach

Ul. Wrocławska – miejsce, gdzie w 1814 r. został założony cmentarz Żydowski, istniejący formalnie do tzw. nocy kryształowej w 1938 r.

fot. Daniel Jung

Ul. Zawada – Cmentarna: pomnik z nazwiskami niemieckich mieszkańców Zawady

Ul. Kapielowa – cmentarz Jędrzychowski powstał w latach 20. XX w . Znajduje się na nim pomnik ofiar wojen światowych

Ul. Racula – Grabowa: pomnik z nazwiskami niemieckich mieszkańców Raculi poległych w czasie pierwszej wojny światowej

Miłośnicy ziemi krośnieńskiej

W porozumieniu z Uniwersytetem Trzeciego Wieku TMZK zamierza utworzyć galerię obrazów o tematyce historycznej. Początek już zrobiono podczas wystawy na zamku krośnieńskim fot. archiwum

Makieta obozu jenieckiego w Kamieniu, znajdująca się na zamku. Otoczony drutem kolczastym obóz to 13 baraków mieszkalnych, 3 baraki dla chorych i 3 pomieszczenia dla chorych zakaźnie fot. archiwum

Pomnik Alfreda Henschkego – Klabunda przy ul. Poznańskiej w Krośnie Odrzańskim fot. archiwum

Skupiające blisko 50 członków Towarzystwo Miłośników Ziemi Krośnieńskiej powstało w 1957 roku. Od 30 lat kieruje nim Zdzisław Paduszyński, lekarz weterynarii.

W pierwszych latach istnienia towarzystwu zależało na upowszechnianiu historii miasta i gminy. Do inicjatyw tamtego czasu należy na przykład ustanowienie godności Honorowego Obywatela Krosna Odrzańskiego, doroczna nagroda kulturalna, książki Jerzego P. Majchrzaka *Brama* i *Brama II*. Nie rezygnując z wcześniejszych pomysłów, teraz towarzystwo podpowiada rozwiązania dotyczące gospodarki. Każdy, kto jechał samochodem przez Krosno, wie, że najtrudniej przedostać się przez most na drugi brzeg Odry. To i TMZK przekonuje, że trzeba zbudować obwodnicę miasta i drugi most. W tej sprawie wspólnie z Komitetem Obrony Budowy Obwodnicy zorganizowało trzy protesty. Gdy okazały się bezskuteczne, przygotowało petycję do Ministerstwa Infrastruktury i Rozwoju, pod którą podpisało się 4 tys. krośnian. Ta okazała się na tyle skuteczna, że zapadła decyzja o wybudowaniu obwodnicy miasta do 2025 r.

– Teraz przekonujemy samorząd do zajęcia się energetyką – mówi Z. Paduszyński. – Woda pod miastem na głębokości 9,5 tys. metrów ma temperaturę 360 stopni. Trzeba zrobić odwierty i czerpać energię. Fachowcy twierdzą, że byłoby to najtańsze na świecie źródło zaopatrzenia ludności w energię. Kilowat powinien kosztować nie więcej niż 5 groszy.

Do osiągnięć członków towarzystwa prezes Paduszyński zalicza uporządkowanie miejsca w Kamieniu, gdzie w latach pierwszej wojny światowej Niemcy założyli obóz jeniecki. Przebywali w nim Rosjanie, Rumuni, Francuzi, Anglicy, Szkoci, Amerykanie, Włosi oraz powstańcy śląscy i wielkopolscy. Towarzystwo miało swój udział w upamiętnieniu poety pisarza i dramaturga Alfreda Henschkego – Klabunda (1890-1928).

Wspólnie z biblioteką miejską TMZK organizuje konkurs literacki im. Witolda Ciecińskiego. Ma swój udział w upowszechnianiu twórczości plastycznej i wiedzy historycznej.

Mogłoby zrobić jeszcze więcej, gdyby miało pieniądze. Z tego powodu nie udało się np. odnowić szlaków turystycznych i ścieżek prowadzących do miejsc historycznych w mieście i najbliższej okolicy.

W planie TMZK ma wydanie monografii i książki dotyczącej dziejów ziemi krośnieńskiej ilustrowanej współczesnymi pracami plastycznymi. Będzie nadal współpracowało z Uniwersytetem Trzeciego Wieku i innymi stowarzyszeniami oraz z placówkami kultury.

AS

ISSN 2544-8880

na WINNICY

Magazyn Towarzystwa Miłośników Zielonej Góry WINNICA

Adres do korespondencji
65-093 Zielona Góra, ul. Lisia 37
e-mail tmzg-winnica@o2.pl
www.tmzg.org.pl

Redagują: Alicja Błażyńska, Alina Polak,
Alfred Siatecki – redaktor naczelny
Skład i łamanie: Emilia Ćwilińska
Numer zamknięto 20 września 2017 r.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość wykorzystania publikowanych materiałów na stronie internetowej TMZG. Za treść zamieszczonych reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych redakcja nie odpowiada.